

MAURICE MAETERLINCK

# PIĘKNO WEWNĘTRZNE

WYBÓR Z PISM PROZĄ  
TŁUMACZYŁ STANISŁAW WOMELA

WYDANIE CZWARTE.

*Państwowe Pedagogium i Muzeum Pedagogiczne  
w Kałowicach*



LWÓW — WARSZAWA — POZNAŃ  
WYDAWNICTWO „KULTURA I SZTUKA”  
LWÓW — KSIĘGARNIA AKADEMICKA  
NEW YORK — POLISH BOOK IMPORTING CO INC.

**WSZEŁKIE PRAWA ZAŚTRZEŻONE.**  
Copyright by Wydawnictwo „Kultura i Sztuka“  
Lwów (Poland)

Drukarnia „Sztuka“ Lwów, pl. Strzelecki 2.

# PIĘKNO WEWNĘTRZNE

$$\frac{R}{2} = \frac{1}{10} (R - x) = \frac{1}{2} : R$$

~~Majestus~~  
~~Majestus~~

$$R^2 = 4xR - 4x^2$$

$$4x^2 - 4xR + R^2 = 0$$

$$x = \frac{R \pm \sqrt{R^2 - (R-x)^2}}{2}$$

TREŚĆ :

Wyjątki  
Życie głębokie  
O szczerości  
Piękno wewnętrzne



17 + 821.733.1 (493)-4

10781

Niema nic sprawiedliwszego nad szczęście, nic nie przybiera wierniej kształtu naszej duszy, nic nie wypełnia sobą dokładniej miejsc, pootwieranych przez mądrość. Ale też niema nic tak bardzo pozbawionego głosu, jak szczęście. Anioł bólu umie przemawiać wszystkimi językami i zna słowa wszelakie, natomiast anioł szczęścia otwiera usta jedynie wówczas, kiedy może mówić o szczęściu zrozumiałem nawet dla dzikiego człowieka. Nieszczęście porzuciło jeszcze przed setkami lat dziecięce dreptaczki, szczęście zaś, zda się, śpi wciąż jeszcze w pieluchach.

Niektórzy nauczyli się być szczęśliwymi, lecz gdzież są ludzie, myślący o swoim szczęściu, o użyczeniu głosu temu niememu archaniolowi, który ich dusze rozjaśnił? Skąd to niesprawiedliwe milczenie? Czyż mówić o szczęściu nie jest potrosze tem samem, co uczyć szczęścia? Czy nazywać je coddzień po imieniu nie znaczy tyle, co wołać na nie? A czyż nie jest to pięknym obowiązkiem szczęśliwych, że pokazują drugim, jak się ma być szczęśliwym? To pewna, że człowiek uczy się być szczęśliwym, a niczego nie uczy się łatwiej, aniżeli szczęścia. Żyjąc wśród ludzi błogosławiących swojemu życiu, poczyną się niebawem błogosławić własnemu. Uśmiech jest tak samo zaraźliwy, jak lzy; a czasy, nazywane szczęśliwymi, to częstokroć tylko epoki, w których ludzie umieli się nazwać

szczęśliwymi. Zazwyczaj bowiem brak nam nie tyle szczęścia, ile jego świadomości. Na co się przyda być szczęśliwym, jak tylko można, skoro się nie wie o tem, że się jest szczęśliwym. Poczucie najdrobniejszego szczęścia daleko więcej przyczynia się do naszej szczęśliwości, aniżeli największe szczęście, które dusza nasza niebacznie przeocza. Zbyt wiele istot wyobraża sobie, że szczęście jest czemś innym, niż ono same i dlatego to winniłyby ludzie, mający szczęście, pokazać nam, że nie posiadają nic ponadto, co i my posiadamy na dnie naszego serca.

Być szczęśliwym, to znaczy mieć już poza sobą niecierpliwe pragnienie szczęścia. Od czasu do czasu powinienby stanąć przed nami człowiek, wyposażony przez los widocznem, godnem zazdrości, nadludzkiem szczęściem i rzec do nas poprostu: Posiadam wszystko, czego, domagają się wasze codzienne życzenia, mam bogactwo, zdrowie, młodość, sławę, potęgę i miłość. Dzisiaj się mogę nazwać szczęśliwym, nie dzięki darom, użyczonym mi przez szczęście, lecz dlatego, że dary te nauczyły mnie sięgać wzrokiem ponad szczęście. W moich przedziwnych podróżach, w moich zwycięstwach, w mej sile i w mej miłości, znalazłem spokój, szczęście, do którego dążyłem, ale jedynie dlatego, że te tryumfy pouczyły mnie, iż niema w nich prawdziwego szczęścia ani prawdziwego spokoju. Spokój i szczęście były we mnie, zanim je poznałem, lecz dopiero od kiedy je znam, są we mnie rzeczywiście. Wiem zarazem i to także, iż przy odrobinie więcej prawdy mogłem być osiąść wszystko, co posiadam, nie musiałbym wcale posiadać aż tak wiele szczęścia. Wiem, że dziś jestem szczęśliwszy,

niżli byłem wczoraj, ponieważ wiem to nareszcie, że nie potrzeba mi już szczęścia dó wyzwolenia duszy, do zaspokojenia myśli i do oświecenia serca.

Nasz los właściwy polega na naszym pojmowaniu życia, na tej równowadze, która nastaje w końcu między nierozwiązalnymi zagadkami nieba, a niepewnymi odpowiedziami naszej duszy. W miarę, jak wzrasta obraz tych zagadek, zostaje w nich większy spokój, a wszystko, co się zdarzy mędrcom, powiększa te pytania i złagodnia te odpowiedzi.

Tkanka codziennego życia jest jednakową prawie we wszystkich stuleciach, w których istnienie ludzkie osiągnęło pewien stopień nieuciążliwości. Ale podczas kiedy powierzchnia tej tkanki, zajętej przez szczęśliwe lub nieszczęśliwe zdarzenia, nie zmienia się dla oka, ciemnieje jednak lub jaśnieje odpowiednio do stopnia swej przeźroczystości i do przewodniej myśli tkającej ją generacji. Ta myśl, jakkolwiek byłby jej kształt i przybranie, wychodzi w ostatniej linji zawsze na pewien sposób pojmowania życia. Zewnętrzne, czy to szczęśliwe, czy nieszczęśliwe wypadki poszczególnego człowieka lub społeczności, wpływają tylko przemijająco na ludzkie szczęście lub nieszczęście, dopóki nie dotyczą ogólnych myśli o bóstwie, o nieskończoności, o nieświadomem, o rządzie świata — myśli, będących rozjaśnieniem i strawą dla ludzi. W tem, a nie w wojnach lub zamieszkach społecznych, spoczywa odpowiedź na pytanie, czy jakieś plemię żyło w świetle czy też w ciemności, w smutku czy też w radości; tu znajduje się klucz do rozwiązania zagadki, dlaczego niejeden naród pozostawił świadectwa piękna i pogody umysłu po-





się nikt nie uskarża, że spodziewa się trochę więcej szczęścia, trochę więcej piękna, trochę więcej sprawiedliwości. Z tem jest tak, jak ma być ze szczęśliwością wybranych. Każdy z nich odziany jest weselem i każdy ma szaty, odpowiadające wzrostowi. Nie może on sobie życzyć szczęśliwości większej, niżeli ta, którą posiada, gdyż posiadłby ją przez to właśnie, że życzyłby jej sobie. Ilekroć jestem pełen szlachetnej zazdrości o szczęście tych, którzy potrafią bardziej iskrzące się i cięższe naczynie zanurzyć w najjaśniejszym miejscu wielkiego strumienia, tylekroć nie wiedząc o tem, biorę wybitny udział we wszystkim, czego oni zaczerpną, a wargi moje dotykają razem z ich wargami brzegów tego pucharu.

W życiu zawdzięcza się wiele szczęścia i nieszczęścia tylko przypadkowi, ale spokój wewnętrzny nie zależy nigdy od przypadku. Wiem o tem, że są dusze budujące, inne lubią zwaliska, a są w końcu i takie, które przez całe życie błądzą z pod jednego obcego dachu pod drugi. Trudno przekształcić instynkt jakiejś duszy, lecz mimo to przyda się tym, które nie budują, poznanie radości drugich z tego powodu, że układają kamień na kamieniu. Wszystko im służy, myśli, skłonności, miłość, przekonania, złudzenia, nawet wątpliwości, a co burza zdruzgoce i porwie, to przyda się z większą wygodą opodal, do wzniesienia budynku mniej dumnego, lepiej odpowiadającego wymaganiom życia.

Jaki smutek, jaki żal, jakie rozczarowania mogą jeszcze wstrząsnąć domem człowieka, który dobierając kamienie budowlane swego domostwa nie zarzucił tego, co mądre i trwałe w smutku, żalu

i rozczarowaniu. A czyż, aby użyć innego obrazu, z korzeniami wewnętrznego szczęścia nie dzieje się to samo, co z korzeniami drzew? Dęby, którymi wiatr potrząsa najsilniej, trzymają się w końcu najmocniejszymi i najżywotniejszymi korzeniami odwiecznego gruntu; los, szarpiący nami niesprawiedliwie nie wie lepiej o tem, co się dzieje w duszy, niżli wiatr o tem, co się odbywa pod ziemią.

Szczęście jest raczej rośliną życia moralnego, niżli życia rozumu. W rozumie nie ukrywa świadomość wogóle, a poczucie szczęścia przedewszystkiem — tego, co najcenniejsze. Możnaby nawet czasem powiedzieć, co najwyższe i najbardziej pocieszające z tego, co rozum posiada, nie zamienia się w świadomość, jeśli nie przeszło przez akt cnoty. Nie wystarcza samo odkrycie jakiejś nowej prawdy w świecie woli lub wyobrażenia. Prawda nabiera dla nas życia dopiero od chwili, kiedy coś w naszej duszy przekształciła, oczyściła i wyrównała.

Istota szczęścia lub nieszczęścia w zdarzeniu polega na pojęciu, jakie się zeń zaczerpnie; dla silnych w tem, co zaczerpną sami, dla słabych w tem, co inni zaczerpną. Być może, że na drodze od kołębki do grobu spotka cię tysiąc zdarzeń fizycznych, a żadne z nich nie znajdzie dość siły do przemienienia się w zdarzenie moralne. Tylko wówczas może sobie człowiek powiedzieć: „Może ja wcale nie żyłem“.



Żyjemy na łonie wielkiej niesprawiedliwości, a mimo to nie uważam tego za oznakę obojętności lub okrucieństwa, że mówi się czasami, jakoby tej

nieśprawiedliwości już nie było; gdyby nie to, nie wyszłoby się nigdy poza swoje koło. Trzeba koniecznie, żeby poszczególni ludzie pozwalali sobie tak myśleć, mówić i działać, jak gdyby wszyscy byli szczęśliwi. Jakież to szczęście, jaką sprawiedliwość, jaką miłość i piękno znaleźliby zresztą wszyscy inni dnia tego, kiedy los otworzy im publiczne ogrody obiecanej ziemi? Możliwy zaiste powiedzieć, że należałoby najpierw zmierzać do tego, co „najpilniejsze“. Cóż, kiedy zmierzanie do tego, co „najpilniejsze“, nie zawsze jest najmądrzem. Lepiej częstokroć zmierzać zaraz do tego, co „najwyższe“. Kiedy zalew zagrozi mieszkaniu hollenderskiego wieśniaka, kiedy morze albo rzeka sąsiednia przerwie groblą ochronną, wówczas będzie dla niego najpilniejszym ocalenie bydła, żywności i statku domowego, ale najmądrzej postąpi, jeśli na szczycie tamy stanie do walki z falami i zwoła tam wszystkich, mieszkających pod osłoną nadwężonego wału ziemnego.

Ludzkość była do dnia dzisiejszego, jak ów chory, który szukając spoczynku przewraca się po łóżku, ale mimo to, ci tylko powiedzieli jej prawdziwie pocieszające słowa, którzy przemawiali do niej tak, jak gdyby nigdy nie chorowała. Albowiem ludzkość poczęła się na to, żeby była szczęśliwą, jak człowiek na to, żeby był zdrow. Ilekroć zaś mówi się jej o jej nędzy, tylekroć wygląda to nawet na łonie najogólniejszej i najtrwalszej nędzy, jak gdyby się jej mówiło tylko słowa przypadkowe i tymczasowe. Niema w tem nic zdrożnego, żeby zawsze tak do niej przemawiać, jak gdyby to dla niej była wilja wielkiego szczęścia i wiel-

kiej pewności. Żyje ona rzeczywiście w takiej chwili, chociażby nawet nie miała doczekać się dnia następnego. Dobrze jest wierzyć w to, że trochę więcej pracy umysłowej, trochę więcej odwagi, trochę więcej miłości, trochę więcej żądzy wiedzy, trochę więcej żaru życiowego wystarczy pewnego dnia do otwarcia nam wrót radości i prawdy. Nie należy tego bynajmniej potępiać. Wolno się spodziewać, że pewnego dnia cały świat stanie się szczęśliwym i mądrym, a chociaż dzień ten nigdy nie nadejdzie, przecież nie jest to zbrodnią, że się go oczekiwało.

Zaiste przynosi się wielką korzyść, jeśli się nieszczęśliwym opowiada o szczęściu, iżby się z niem zapoznali. Wyobrażają sobie oni tak chętnie, że szczęście jest czemś nadzwyczajnem i nieosiągalnem! Gdyby jednak wszyscy, mogący się uważać za szczęśliwych, wyluszczyli poprostu przyczyny swego zadowolenia, zobaczonoby, że pomiędzy smutkiem a radością zachodzi tylko taka różnica, jaka dzieli uśmiechnięte i rozjaśnione przyjęcie jarzma od wrogiego i gniewnego ugięcia się pod nie, albo małostkowe i egoistyczne tłómaczenie od harmonijnego i w dal patrzącego wykładu. Nieszczęśliwi zawołaliby wówczas: „I nic ponadto? Ależ w takim razie my także posiadamy w sercu naszym podstawowe warunki tego szczęścia“. Posiadacie je tam zaiste! Pomijając wielkie fizyczne cierpienia, posiada je cały świat. Ale nie mówcie o tem szczęściu z pogardą, bo innego już niema! Najszczęśliwszym z ludzi jest ten, kto najlepiej zna swoje szczęście, i kto najgłębiej przekonany jest o tem, że szczęście dzieli od nieszczęścia tylko

myśl podniosła, niezmordowana, ludzka i odważna.

Częste rozmowy o tej myśli są rzeczą zbawienną, nie dla wmówienia w drugich własnych myśli o szczęściu, dlatego, że w sercu słuchaczy wywołują z wolna życzenie posiadania własnej myśli tego rodzaju. Ta myśl jest dla każdego z nas odmienną. Wasza nie sprawia mi żadnej przyjemności: daremnie chcielibyście wymownie mi ją zachwalać; nie dosięgnie ona ukrytych organów mojej istoty. Muszę myśl moją w sobie samym i przez siebie samego osiągnąć. Mówiąc mi jednak o swojej myśli dopomożecie mi bezwiednie do odnalezienia mej własnej. Może się zdarzyć, że mnie coś skrzepi, co was zasmuci, a co was pocieszy, to zasmucić mnie może. Lecz cóż to znaczy. Piękno, spoczywające w waszej pociesze, przejdzie w mój smutek, a to co wielkie w waszej żalości, wciśnie się w moją radość, jeśli skądinąd radość moja godną jest waszej żalości. Należy przedewszystkiem koniecznie na powierzchni naszej duszy ogołocić pewną wyżyńkę, gdzie moglibyśmy przyjąć tę myśl, jako kapłani dawnych religji oczyszczali i ogałacali szczyt góry z krzów i zarośli na przyjęcie świętego ognia. Nie jest to niemożliwością, że jutro z planety Marsa zeszlą nam, w ostatecznej prawdzie o założeniu i celu wszechświata, niezawodną formułę szczęścia. Zmieni ona nasze moralne życie tylko tyle i o tyle je poprawi, o ile żyliśmy w oczekiwaniu i pragnieniu tej poprawy. Każdy z nas skorzysta z dobrodziejstw tej — zmiennej zresztą — formuły tylko w miarę bezinteresownej oczyszczonej, pełnej oczekiwania i rozjaśnionej już przestrzeni, jaką ta formuła zostanie



w naszej duszy. Wszelka moralność, wszelka wiedza o sprawiedliwości i szczęściu powinna być jedynie jak najdalej patrzącem, wypróbowanem i zdolnem do przyjęcia oczekiwaniem, oraz przygotowaniem się na to. Zaiste, należy sobie jak najserdeczniej życzyć nadejścia dnia, kiedy nareszcie żyć zaczniemy w pewności, w naukowo niewzruszonej prawdzie: tymczasem jednak możemy żyć w prawdzie jeszcze ważniejszej, a jest nią prawda naszej duszy i charakteru. Kilku mędrców dowiodło nam, że to życie możliwe jest nawet wśród największych materialnych błędów.

Należałoby tak żyć, jak gdyby się ustawicznie było w przededniu wielkiego rozstrzygnięcia. Należałoby przygotować się na tak zupełne, serdeczne i skwapliwe jego przyjęcie, na jakie nas tylko stać. Najlepszym sposobem przyjęcia go któregoś dnia i w jakiegokolwiek wyłoniłoby się postaci, jest oczekiwanie go z godziny na godzinę i to tak wzniośle, tak szeroko, tak zupełnie i uszlachetniająco, jak tylko nasza dusza zdoła sobie wyobrazić. Nie zdobędziemy się dlań nigdy na dość wielkie rozmiary, dość piękna i majestatu. To pewne, że będzie ono lepszem od naszych najśmielszych nadziei, chociażby zaś im nie odpowiedziało, chociażby się im nawet sprzeciwiło, przyniesie nam już tem samem, że nam prawdę przyniesie, coś wyższego, aniżeli wszystko, czego mogliśmy się spodziewać. Najgodniejszą podziwu będzie dla człowieka — chociażby miał przez to stracić wszystko, co podziwiał — wewnętrzna prawda wszechświata. Jeśli jednak przypuścilibyśmy nawet, że w dniu jej objawienia rozwiałby się z wiatrem najskromniejszy popiół naszych

nadziei, zostanie nam przecież zawsze przygotowanie na coś cudownego, a ta cudowność wciśnie się nam w duszę tem potężniejszymi lub słabszymi falami, im szerszem i głębszem będzie łożysko, wyżłobione przez oczekiwanie.



Szczęście jest zarazem więcej i mniej godne zazdrości, aniżeli się sądzi, gdyż jest czemś całkiem odmiennem od tego, co przedstawiają sobie ludzie niezupełnie szczęśliwi. Weselić się nie zawsze znaczy to samo, co być szczęśliwym, a być szczęścia. Może trwale poczucie szczęścia wymaga szczęśliwym nie zawsze znaczy to, co być wesołym. Tylko drobne chwilowe szczęście uśmiecha się i zamyka oczy w uśmiechu; na pewnej wyżynie jest trwale szczęście tak samo poważne, jak szlachetny smutek.

Pierwsza lepsza dusza nie zdoła unieść szczęścia. Do szczęścia trzeba odwagi jak do niewiększej siły, aniżeli trwale poczucie nieszczęścia; albowiem oczekiwanie tego, czego się jeszcze nie ma, sprawia niemądremu sercu więcej uciechy, aniżeli pełnia posiadania wszystkiego, czego pragnęło. Ze szczytu trwającego szczęścia rozpoznaje się najlepiej żądze tego serca, które karmić się umie pozornie tylko trwogą i nadzieją, a któremu tak trudno żywić się tem, co ma, nawet wówczas, kiedy ma wszystko.

Widzi się często istoty silne i pełne moralnego rozsądku, a pokonane przez szczęście. Nie znalazły w niem wszystkiego, czego szukały i dlatego nie bronią go i nie trzymają się go z taką energją, jaką powinno się zawsze w życiu rozwijać. Trzeba

już być bardzo mądrym, ażeby się nie dziwić temu, że szczęście także smutek przynosi z sobą, oraz, żeby się w tym smutku nie skłonić ku mnie-  
maniu, jakoby się nie posiadało prawdziwego  
szczęścia. Najlepsze z tego, co się w szczęściu  
znajduje jest pewność, że ono nigdy nie upaja,  
lecz każe myśleć. Łatwiej je osiągnąć i nie tak  
rzadko, jeśli się raz nauczyło, że jedynym darem  
zostawionym przez nie duszom, umiejącym zrobić  
z tego użytek, jest rozszerzenie świadomości, ja-  
kiego nigdzie indziej nie byłyby sobie zdobyły.  
Dla duszy ludzkiej ma większą wagę poznanie  
wartości szczęścia, aniżeli jego użycie. Trzeba być  
bardzo mądrym, ażeby przez długi czas kochać  
szczęście, ale trzeba nieodzownie być jeszcze  
mędrszym, aby przyjść do przekonania, że stała  
i trwała strona każdej szczęśliwości, nawet na  
lonie niezamąconego szczęścia, mieści się jedynie  
w tej sile, która na dnie najgłębszem naszej świa-  
domości może nam nawet w nieszczęściu dać  
szczęście. Tylko wtedy możemy się nazwać szczę-  
śliwymi, kiedy szczęście wyniesie nas na takie wy-  
żyny, że możemy stamtąd utracić je z oczu, nie  
tracąc równocześnie także chęci do życia.

Można posiadać bardzo potężny i wysoki  
umysł, nie zbliżywszy się nigdy do szczęścia, ale  
nie można mieć łagodnej, czystej i dobrej duszy,  
nie znając nic oprócz nieszczęścia.



Choćby los piękny zewnętrznie nie był nie-  
odzownym, choćby sam w sobie dość niewiele  
przedstawiał, należy go się, mimo wszystko, spo-  
dziewać i czynić tylko co można, by go osiągnąć,



tak, jakby się doń przywiązywało bardzo wielką wagę. Pierwszym obowiązkiem mędrca jest pukać do wszystkich świątyń, wszystkich mieszkań chwały, zdolności do czynu, szczęścia i miłości. Chociażby mu się nawet po trudzie gorącym i długim czekaniu nic nie otworzyło, znajdzie on w samych tych usiłowaniach i słowach odszkodowanie za jasność i uczucia, których szukał.

„Działać — powiada gdzieś Maurice Barres — znaczy tyle, co włączać do naszego myślenia szersze obrazy doświadczenia“. Działać — mogliśmy dodać — znaczy tyle, co myśleć prędzej i zupełniej, aniżeli myśl. Działanie, to nie tylko myślenie mózgiem, lecz nakaz myślenia dany całej istocie. Działanie, to nie zasypywanie we śnie najgłębszych źródeł myślenia, aby je na jawie otworzyć. Ale działanie niekoniecznie jest tryumfowaniem. Działać, to także tyle, co próbować czekać i być cierpliwym. Działać, to także tyle, co nasłuchiwać, skupiać się, milczeć.

Wydaje się to naturalnem, że szlachetne serce czeka ciągle na wielką miłość, ale jeszcze naturalniejszem jest to, że kocha w oczekiwaniu i że mniema, jakoby nie czekało w miłości. Czekanie zawsze prawie szkodzi bardzo w miłości, jako i w życiu. Kochając, uczy się człowiek czekać, a tak zwanemi rozczarowaniami drobnych miłostek podsyca najprościej i najpewniej niewzruszony płomień wielkiej miłości, która opromieni może resztę naszego życia. Często jest się niesprawiedliwym względem rozczarowań. Nadaje im się strapione, blade, pozbawione odwagi oblicze, a jednak są one pierwszym uśmiechem prawdy. Jesteś człowiekiem pełnym dobrej woli,



starsz się być sprawiedliwym, pożytecznym, mądrym i szczęśliwym, ilekroć jednak zasmuci cię rozczarowanie, dzieje się to zawsze w żalu za kłamstwem, w którym żyłeś. A może wolisz żyć w świecie tych błędów i marzeń, niżeli w rzeczywistości? Najlepsze godziny idą często przy najlepszej woli na marne w walce pięknego marzenia z nieuniknionem prawem, którego piękno spostrzega się dopiero wówczas, kiedy piękne marzenie już wszystkie siły wyczerpało. Jeśli naprzykład oszukała cię miłość, czy sądzisz, że zbawieniem byłoby dla ciebie mniemanie przez całe życie, iż miłość tem jest, czem nie jest, czem być nie może? Czy nie wierzysz temu, że łudząc się w ten sposób fałszujesz twe najważniejsze czynności i przez długi czas zasłaniasz sobie część prawdy, do której dążysz? A jeśli spodziewałeś się dokonać czegoś wielkiego, rozczarowanie wyznaczy ci miejsce wśród spraw drugorzędnych. Czyż to rzetelnie przeklinać zwiastuna prawdy aż do kresu dni swoich? Czyż to, policzywszy wszystko razem, nie prawda sama starała się o złudzenie ciebie, o ile nie była szczerą. Należy się uczyć tworzenia sobie z rozczarowań gromady tajemniczych wiernych przyjaciół i nie przekupnych doradców. Jeżeli któreś z nich okrutniejsze od reszty powali cię na chwilę, nie odpowiadaj mu wtedy szlochając: „Ach, życie nie jest takie piękne jak moje marzenie!“ Powiedz sobie: „Memu marzeniu czegoś brakowało, gdyż nie znalazło potwierdzenia w rzeczywistości“. W ostatniej instancji, cała tak wychwalana siła mocnych dusz powstaje tylko z odpowiednio wziętych rozczarowań. Każde rozczarowanie, każda zapoznana miłość, każda znisz-

czona nadzieja pomnaża wagę twej prawdy o wagę swojej, a im więcej złudzeń opadnie dookoła ciebie, tem szlachetniej, tem pewniej wystąpi wielka rzeczywistość, jako to słońce, które dokładniej widać przez obrane z liści konary zimowego lasu.

Złamana radość przygniata nas jedynie wówczas, gdy nosi się ją ze sobą bez myśli i rozważa, jak ów drwal, który nigdy ciężaru martwego drzewa ze siebie nie składa. Albowiem martwe drzewo nie na to jest, żeby je nosić na plecach, lecz na to, by je zapalić i zamienić w błyszczące płomienie.

Tylko wtedy można swój ideał znaleźć poza sobą, jeśli się go dopełniało w samym sobie jak można było najczęściej. Albo, czy jest nadzieja poznania i skrępowania duszy rzetelnie głębokiej, kochającej, wiernej, niewyczerpanej, duszy szerokiej, żywej, dobrowolnej, samoistnej, odważnej, przychylniej i wspaniałomyślnej, jeśli się nie wie tak samo dobrze jak ona co to jest rzetelność, miłość, wierność, myślenie, życie, wolna wola, samoistność, odwaga, wspaniałomyślność i wielkoduszność? A skąd ma się je znać, skoro się tych rzeczy nie kochało i nie żyło pomiędzy niemi tak, jak je ona kochała i z niemi żyła?

Miejmy zaufanie do miłości, jako je mamy do życia, gdyż na to poczęliśmy się, żebyśmy mieli ufność, a najbardziej jest potępienia godną myśl skłonna do tego, żeby rzeczywistości nie ufać. Widziałem już niejedno życie złamane przez miłość, ale gdyby to się nie stało przez miłość, złamałyby to samo życie zawiedziona przyjaźń, obojętność, niepewność, brak współczucia lub chwiejność.

Niema człowieka, któryby nieraz nie pomyślał, że jego życie się łamie, lecz ilekroć zdruzgoce się rzeczywiście, tylekroć zawdzięcza się nieszczęście przeważnie jakiejś próżnostce zwalisk.

Oczywiście, że jest w miłości, jako i w reszcie naszej doli, wiele szczęśliwych i nieszczęśliwych przypadków. Może być, że jakaś istota z sercem i duchem pełnym szlachetnych sił, serdeczności i wszelakich dobrych ludzkich dążeń, spotyka za pierwszym krokiem w życie, nie szukając jej wcale, duszę, która w upojeniu trwałego szczęścia urzeczywistni wszystkie życzenia miłości od najwyższych do najskromniejszych, od najpotężniejszych do najwątleszych, od najbardziej wiecznych do najbardziej przelotnych, od najgwałtowniejszych do najłagodniejszych. Może się zdarzyć, że spotka bezpośrednio serce, któremu może bezustannie dawać, co ma najlepszego i bezustannie przyjmować, co ono ma najlepszego. Może się zdarzyć, że szturmem zdobędzie bogatą w życzenia duszę, zdolną aż do grobu przyjmować tysiąc razy więcej, niżeli wszystko to, co się jej daje i oddawać tysiąc razy więcej niżeli wszystko to, co przyjęła. Albowiem miłość opierająca się szeregom lat, tworzy się z tej przedziwnie nierównej wymiany i to, co człowiek daje, to ostatecznie posiada, a to co przyjmuje, tego nie posiada już tylko sam jeden.

Bywają czasem takie zupełnie szczęśliwe dole, o ile jednak człowiek ma większe lub mniejsze prawo do spodziewania się czegoś takiego, postąpiłby niesłusznie, gdyby życie swoje w tej nadziei uwięził. Można się tylko na to przygotować, że pewnego dnia stanie się człowiek godnym takiej miłości, w miarę zaś jak się będzie przygotowywał

oczekiwanie jego uzbrajać się będzie w cierpliwość. Mogłoby zdarzyć się również, że istota, o jakiej mówiliśmy właśnie, chodziłaby od młodości do późnego wieku tam i nazad wzdłuż muru, za którym czekało na nią szczęście w zbyt głębokim milczeniu. Ale czyż z tego, że szczęście jego było po drugiej stronie muru, wynika, że po tej były tylko nieszczęście i rozpacz? Czyż nie jest szczęściem już samo to, że zdobyło się prawo kroczenia tak u boku szczęścia? Czyż nie wolimy czuć pomiędzy sobą a miłością, której się spodziewamy tylko — żebym tak rzekł — przeźroczyściego i kruchoego może przypadku, aniżeli wiecznego przedziału we wszystkim, co w nas samych nieludzkie, niepożyteczne, niegodne? Szczęśliwy, kto może kwiat ten zerwać i zabrać ze sobą, ale nie należy znowu tak bardzo oplakiwać kogoś, kto przez całe życie kroczy w woni kwiatów niewidzialnych. Czyliż życie, które nie jest takim szczęśliwym, jakby być mogło, jest już przez to chybiotem, czy utraciło już wszelką wartość i cele? Gdybyście nawet nie przynieśli ze sobą wszystkiego, co mogłoby być lepszym w miłości — chociaż dusza, jak powiedziałem poprzednio, posiada ostatecznie tylko to, co dać może — czyż już to samo nie jest szczęściem, że się sposobność do dawania spostrzega? Tak, daję słowo, że na tej ziemi niema bardziej pożądanego szczęścia nad godną podziwu miłość, a chociaż się tej miłości nie znajdzie, nie przypadnie dla uspokojenia w naszej piersi, dla śmielszego i czystszej spokoju duszy na resztę naszego życia, to co uczyniliśmy, by się okazać godnymi tej miłości.

Można też kochać zawsze. Miluj co godne podziwu, a doznasz wszelkich uciech miłości godnej podziwu. Nawet w najdoskonalszej miłości kochających się najzgodniej, niema zupełnie równego szczęścia, a z pewnością ten jest najlepszym, kto najlepiej miłuje, a kto miłuje najlepiej, ten jest także najszczęśliwszym. W okazaniu się godnym miłości, idzie więcej o własne, niż o cudze szczęście. Nie należy mniemać bynajmniej, jakoby w nieszczęśliwych godzinach nierównomiernej miłości najwięcej cierpieć miał człowiek mędrszy, sprawiedliwszy, wielkoduszniej i najszlachetniej natchniony. Lepszy nigdy prawie nie jest pożałowania godną ofiarą. Zupełną ofiarą jest się jedynie wówczas, kiedy się pada ofiarą własnych błędów, własnej nieprawości, własnej niesprawiedliwości. Jakkolwiek byłby ktoś niedoskonałym, może mimo to wystarczyć dla miłości cudownej istoty, ale najcudniejsza nawet istota nie wystarczy jego miłości, jeśli sam nie jest całkiem doskonałym. Należy sobie życzyć, żeby szczęście wprowadziło pewnego dnia w dom twój kobietę wyposażoną we wszelkie dary serca i rozumu, kobietę, jaką miałeś sposobność podziwiać, kiedy przed twojami oczyma przechodziły historyczne bohaterki chwały, szczęścia i miłości, ale nie zauważysz nic z tego, jeśli się nie nauczyłeś rozpoznawać i umiłowować tych darów w życiu rzeczywistem. A czemże jest w gruncie rzeczy życie rzeczywiste, jeśli nie twojem własnem? Ta rzetelność, jaka jest w tobie, rozkwitnie w rzetelności ukochanej osoby; ta prawda, jaka jest w twojej duszy, znajdzie ukojenie w jej prawdzie i tylko to, co w twoim charakterze jest siłą, ucieszy się siłą jej charakteru. Ale cnota

ukochanej istoty, która u progu naszego serca nie spotka się z cnotą nieco do niej podobną, nie wie, jakim rękóm ma powierzyć przyniesioną ze sobą szczęśliwość.

Mimo to, jakąkolwiek byłaby dola twego serca, nie trać odwagi. Nie wierz przedewszystkiem, jeśli nie doznałeś miłosnego szczęścia, że nie doznasz nigdy wielkiego szczęścia ludzkiego bytu. Gdy twoje szczęście przybierze postać rzeki, podziemnego strumienia, ruczaju, czy też jeziora, właściwe jego źródło bije w ukrytych komorach twego serca, a najnieszczęśliwszy nawet człowiek może sobie wyobrazić i największe szczęście.

Jest wprawdzie w miłości upojenie, jakiego człowiek nigdy nie zazna, upojenie to jednak pozostawiłoby w sercu poważnem i szczerem jedynie wielką posępność, gdyby w prawdziwej miłości nie znalazło nic pewniejszego, głębszego i bardziej niewzruszonego od tego upojenia. Albowiem najpewniejszym, najgłębszym i najbardziej nie wzruszonym jest w miłości to samo co w życiu szlachetnym.

Nie każdy potrafi być w rzeczach wewnętrznych bohaterem, godnym podziwu, zwycięskim, albo po prostu szczęśliwym, ale nawet najmniej wyszczególniony z nas może być sprawiedliwym, rzetelnym, łagodnym, braterskim i wielkodusznym najmniej wyposażony może się przyzwyczaić do spoglądania naokoło siebie bez niechęci, zazdrości, mściwości i strapienia; najbardziej wydziedziczony może brać nie najgorszy udział w radości swego otoczenia, najniezręczniejszy może wiedzieć, do jakich granic wolno mu wybaczyć obrazę, usprawiedliwić pomyłkę i podziwiać jakieś słowo i czyn

jako rzeczy ludzkie, a najbardziej niekochany może miłość szanować i kochać.

Wtedy pochyła on się nad źródłem, nad którym — częściej aniżeli się sądzi — pochylają się szczęśliwi w najgorętszych godzinach swojego szczęścia, by się upewnić, że są naprawdę szczęśliwi. Głęboko na dnie szczęśliwości miłosnych, jakoteż na dnie prostoty życiowej człowieka sprawiedliwego do którego przypadek nie chciał się uśmiechnąć niema nic niezmiennego i nieruchomego prócz sprawiedliwości, ufności, życzliwości, szczerości i wielkoduszności. Miłość nadaje tym świetlanym punktom trochę więcej blasku i dlatego należy szukać miłości. Największą korzyść przynosi nam miłość tem, że otwiera nam oczy na kilka spokojnych i łagodnych prawd. Największą korzyścią miłości jest to, że nam daje sposobność podziwiania tego na jednym przedmiocie, czego podziwianie na tysiącu rozrzuconych przedmiotów nie przysłoby nam na myśl i do czego nie starczyłoby nam siły; to rozszerza nam serce na przyszłość. Ale i na dnie najcudowniejszej miłości tkwi zawsze tylko bardzo prosta szczęśliwość, bardzo łatwa do pojęcia tkliwość i uwielbienie, bardzo łatwo osiągalna szczerłość i ufność, bardzo ludzki podziw i oddanie się, które mógłby poznać również człowiek z dobrą wolą, ale bez szczęścia w miłości w swoim posępnem istnieniu, jeśliby tylko posiadał trochę mniej goryczy i niecierpliwości a trochę więcej żądzy i ochoty do czynu.



Musi się być szczęśliwym, aby uszczęśliwiać, a musi się uszczęśliwiać, aby nadal zostać szczę-



śliwym. Spróbujmy się najpierw uśmiechać, a żeby nasi bracia nauczyli się uśmiechać, a wówczas, widząc ich uśmiechających się, będziemy się uśmiechali prawdziwiej. „Nie uchodzi mi samemu się martwić, skoro nikomu nie sprawiłem zmartwienia“, powiada Marek Aureliusz w jednym z najpiękniejszych swych wierszy. A czyż nie jest to martwieniem samego siebie, a zarazem uczeniem się jak drugim sprawiać zmartwienie, gdy się nie uczy być tak szczęśliwym, jak tylko można?

Najmniejsza myśl, która kojarzy wzrok zadowolenia, dobry uczynek, albo najspokojniejszą, najskromniejszą mi nutę szczęścia z czemś pięknem, trwałem i wiecznem, ma pełniejszą zasługę, wydarcie jej misterjom życia znaczy nieskończenie więcej, aniżeli ponure spostrzeżenie, które ból, miłość, zwątpienie łączy ze śmiercią, z losem lub z obojętnymi mocami, otaczającymi nasze istnienie. Nie dajmy się uwodzić pozorom. Hamlet, stojący nad brzegiem otchłani i skarżący się, wydaje nam się głębszym i bardziej zapalającym od Antonina Piusa, który te same moce spokojnie ogląda, przyjmuje i zapytuje, zamiast im złorzeczyć i zamiast szukać w nich źródeł zwątpienia. Wszystko, co się przez cały dzień działo, wydaje się mniej wzniosłem od najmniejszego gestu, wykonanego kiedy noc zapada; ale człowiek urodził się na to, żeby we dnie pracował a nie wałęsał się po nocy.

Mówi się do nas: „Kochaj bliźniego twego, jak siebie samego!“ Jeśli się jednak kocha siebie samego małodusznie, dziecinnie i trwożliwie, będzie się bliźniego w taki sam sposób kochało. Niechaj

każdy nauczy się kochać siebie wielkodusznie, zdrowo, mądrze i zupełnie; to o wiele trudniejsze, aniżeli się sądzi. Miłość własna silnej, jasnowidzącej duszy działa o wiele dobroczynniej, niżeli wszelkie poświęcenie duszy ślepej i słabej. Zanim się zacznie istnieć dla drugich, ma się istnieć dla siebie samego, a zanim się siebie rozda, należy siebie osiągnąć. Bądź pewien, że zdobycie trochę samowiedzy tysiąc razy więcej warte w gruncie rzeczy od oddania całej twej świadomości.

Wystrzegajmy się tego, co uczynił ów latarnik morski w bajce, który sąsiednim chatom rozdał oliwę z wielkich latarni, mających oświecać morze. Każda dusza jest w swoim zakresie dozorczynią mniej lub więcej potrzebnej latarni. Najmniej znacząca matka, która pozwala najciańszszym macierzyńskim obowiązkom zasmucać, pożerać i niszczyć siebie, oddaje drugim swoją oliwę a dzieci jej będą przez całe życie cierpiały z tego powodu, że dusza ich matki nie była taka jasną, jaką być mogła. Niematerjalna siła, jaśniejąca w naszym sercu ma przede wszystkim świecić dla siebie samej. Tylko za tę cenę będzie także świeciła drugim. I jakkolwiek małą byłaby twoja latarnia, nie rozdawaj nigdy podsycającej ją oliwy, lecz wieńczące ją światło.

Nad czem w sobie panujemy, nad tem panujemy u wszystkich, którzy do nas się zbliżą. Dokoła sprawiedliwego tworzy się wielki duch pokoju, ubezwładniający zwolna strzały złego. Cierpienia moralne, dosięgające człowieka, nie zależą już od niego. Jest to prawdą dosłowną, że ich złośliwość tylko dopóty może nam lży wyciskać, dopóki nie pozbędziemy się żądzzy zmuszenia naszych wrogów

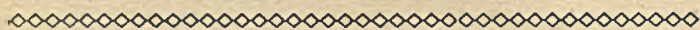
do płaczu. Ilekroć spojrzenia zazdrości krwawią nam serce, tylekroć jesteśmy zdolni rzucać takie spojrzenia, ilekroć zaś zdrada nam łzy wycisnęła, tylekroć tkwiła w nas zawsze zdolność do zdrady. Duszę można zranić tylko tą bronią, której sama jeszcze nie rzuciła na stos miłości.



To, czego się dać nie miało odwagi, to się musi na pewno utracić. Namiętność to tylko nam naprawdę zabiera, co nam się zdaje, że jej porywamy, a dostajemy zawsze o tyle za mało, ile, jak nam się zdaje, zatrzymujemy dla siebie. Ponadto ma dusza pewne zakamarki takie głębokie, że tylko miłość ma odwagę schodzić po ich stopniach i wynosić stamtąd owe nieprzeczuwane klejnoty, których blask spostrzegamy tylko w przelotnych momentach, kiedy otwieramy ręce nasze, by je podać gorąco ukochanym rękom. Możliweby zaprawdę powiedzieć, że nasze ręce, skoro się do dawania otworzą, rozsiewają czasem blask, przenikający jeszcze ciemniejsze ciała, aniżeli to czynią odkryte niedawno, tajemnicze promienie.

Do wzmocnienia i uspokojenia duszy nie wystarczy kochać Boga i służyć mu tak dobrze, jak tylko można. Boga nauczy się człowiek kochać rozumem i uczuciami, zdobytymi i rozwiniętymi w zetknięciu się z ludźmi. Dusza ludzka pozostanie głęboko ludzką, chociażby się twierdziło przeciwnie. Można ją nauczyć miłości i rzeczy niewidzialnych, ale cnota, uczucie zupełnej prostej ludzkości ożywi ją zawsze skuteczniej, niżeli najbardziej boska cnota lub namiętność. Ilekroć spotykamy duszę rzeczywiście spokojną i zdrową,

możemy być pewni, że zdrowie swoje i spokój umysłu zawdzięcza cnotom czysto ludzkim. Jeśli by nam wolno było czytać w tajemnicach serc, których już niema, zobaczylibyśmy może, że źródło spokoju, z którego Fenelon czerpał co wieczora, było raczej w jego wierności dla nieszczęśliwej pani Guyon i w jego miłości dla zapoznanego i prześladowanego delfina, niżli w oczekiwaniu nagrody wieczystej; raczej w jego po ludzku subtelnem, po ludzku rzetelnem i po ludzku naganem sumieniu, aniżeli w jego chrześcijańskich nadziejach.



W miarę jak człowiek schodzi w dół po stopniach życia, wdziera się także w tajemnicę większej masy smutku i bezsiły. Widzi on wówczas, że wiele dusz dokoła nas zanika, ponieważ uważają się za niepotrzebne i wyobrażają sobie, że nikt ich nie zauważył i że nie mają w sobie nic takiego, co czyniłoby je godnymi miłości. Czyż jednak w końcu nie wybija dla mędrca godzina, w której każdą duszą istniejącą zauważa, potwierdza i kocha dlatego jedynie, że posiada ten tajemniczy dar istnienia? Czyż nie wybija ostatecznie godzina, kiedy to widzi wszystkie siły, prawdy i cnoty na dnie wszelakich słabości, kłamstw i występków? Jasna i błogosławiona godzina, kiedy to złość nie jest niczem innym, jak dobrocią, która utraciła przewodnika, kiedy zdrada nie jest niczem innym, jak rzetelnością, która nie znajduje drogi powrotu do szczęścia, kiedy nienawiść nie jest niczem innym, jak miłością, która, pełna niepokoju, otwiera wrota swojego grobu. Wówczas też historia o dobrym

lotrze stanie się bezwiednie historją wszystkich otaczających sprawiedliwego człowieka. Nawet najdrobniejsze istoty, ocalone w ten sposób przez jedno spojrzenie, jedno słowo lub milczenie, zapominają w swem prawdziwym, przez los niedosięgłem szczęściu, przed zapadnięciem nocy o swoim cierpieniu, jako dusza Sokratesa zapomniała, że przed zachodem słońca miała wychylić pułar śmierci.

Ocalenie tego komuś życia, które zawiera to i owo życie, nie jest tem samem, co wydarcie go śmierci lub zewnętrznej niedoli, lecz napewno uszczęśliwieniem go w wyższym stopniu przez to, że uczyni się go trochę lepszym. Moralne ocalenie jest wszystkim, a wydaje się drobnostką, jak wogóle wszystko, co się dzieje na szczycie naszej istoty. Czyż dobry lotr nie został ocalony nie tylko w chrześcijańskim, lecz w wyższem tego słowa znaczeniu? A jednak musiał umrzeć w tej samej godzinie. Umarł jednak szczęśliwym na wieki, gdyż ukochano go w ostatniej godzinie, a nieskończenie mądra istota umiała mu pokazać, że i jego dusza nie była potrzebną, i że ona była dobrą i nie przeszła niepostrzeżenie przez ziemię.



Ludzie może jeszcze nie wiedzą, co to znaczy słowo kochać. Niektórzy kochają, nie wiedząc o tem. Tak kochać, to nie tylko chcieć poświęcać się wewnątrz, pomagać i uszczęśliwiać; to coś o wiele głębszego, czego nie osiągnęłyby najmilsze, najzręczniejsze, najsilniejsze słowa ludzkie. Chciałoby się czasami powiedzieć, że jest to skryte, lecz wysoce dojmujące wspomnienie prajedności. W tej

miłości tkwi siła, której nic się nie oprze. — Któż z nas, zapytując siebie o to w świetle, na które się zazwyczaj nie zważa, nie odnajdzie w sobie wspomnienia dziwnych dzieł tej potęgi? Któż z nas nie odczuł nagle, może nawet u boku obojętnej istoty, że zbliżało się coś, czego nikt nie wołał? Czy była to dusza albo może nawet życie, wracające, jak śpioch, budzący się ze snu? Nie wiem, a wy nie widzieliście tego także i nikt o tem nie mówił, lecz nie rozstaliście się, jak gdyby się nic nie stało.

Tak kochać, to znaczy kochać odpowiednio dla duszy i niema duszy, któraby nie odwzajemniła tej miłości. Albowiem dusza ludzka jest głodnym od wieków gościem, którego nie trzeba po dwakroć prosić na ucztę weselną.

Wszystkie dusze naszych braci unoszą się dookoła nas bezustannie, pragnąc pocałunku i czekając tylko znaku.

A jednak, ileż to dusz nie odważyło się w życiu swoim dać tego znaku! To jest nieszczęściem naszego życia, że żyjemy tak na uboczu naszej duszy i że obawiamy się jej najmniejszych poruszeń. Gdybyśmy jej pozwolili uśmiechnąć się swobodnie w jej własnym świetle, żylibyśmy już życiem wiecznym. Wystarczy przypatrywać się przez chwilę, czego dokazuje w owych krótkich minutach, kiedy nie myślimy o nakładaniu jej kajdan, tak szalonej naprzykład w miłości, kiedy pozwalamy jej chwilami zbliżać się do bogów zewnętrzного życia. A czyż wedle najpierwszej prawdy nie powinny wszystkie istoty w życiu czuć się względem nas tak, jak ukochana wedle ukochanego.

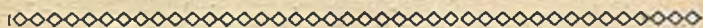
Nikt nie pyta siebie o szczęście, dopóki się czuje szczęśliwym, lecz gdy nadejdzie chwila cierpienia, przypomina się łatwo ową plamę, gdzie kryje się spokój niezależny od promienia słońca, od wzbronionego pocałunku, od królewskiej nagany. Potem nie idzie się do tych, którzy są w ten sposób szczęśliwi, jak myśmy byli, wie się ostatecznie, co zostaje z tego szczęścia, gdy przypadek zrobi najłżejszy gest zniecierpliwienia. Kto chce się dowiedzieć, gdzie się kryje szczęście najpewniejsze, niechaj nie traci z oczu kroków nędzarzy, szukających pociechy. Ból podobny jest do różdżki czarodziejskiej, którą posługiwali się dawniej poszukiwacze skarbów albo źródeł życia; pokazuje ona temu, kto ją niesie, wejście do schronienia dyszącego najgłębszym spokojem. I to jest także prawdą, że powinniśmy się pytać od czasu do czasu, czy możemy zaufać istocie naszego spokoju umysłowego, spokoju duszy i szczerości, którymi czasem potwierdzamy wielkie prawa bytu i trwanie naszej radości, dopóki ludzi zasmuconych nie spowoduje instynkt do zapukania w drzwi nasze, dopóki nie rozpoznają pewnego spokojnego promienia odwiecznej lampy, śpiącego na naszym progu.

Tak, ci jedynie mieliby może prawo czuć się pewnymi, do których przychodziliby płaczący, by się wyplakać. Są po całym świecie istoty tego rodzaju, że ich uśmiech wewnętrzny zauważamy dopiero od chwili, kiedy lzy wymywające nasze spojrzenia aż do najtajniejszych źródeł, nauczą nas zauważać obecność szczęścia, które nie wy-

plywa z życzliwości albo z blasku jednej godziny, lecz z rozszerzanego pojmowania życia.



Dobroć i miłość, które siebie znają, nie mają wpływu na życie; ponieważ porzuciły państwo zamieszkałe przez siebie; o ile jednak są ślepe, mogą nawet wzruszyć. — Znałem niejednego człowieka, spełniającego wszelkie dzieła dobroci i miłosierdzia, a nie dosięgającego ani jednej duszy; znałem zaś innych, żyjących jak się zdawało, w kłamstwie i niesprawiedliwości, oni jednak ani tych dusz nie płoszyli, ani też nawet na chwilę nie budzili podejrzenia, jakoby nie byli dobrzy. Co więcej: ludzie nie znający was, którym opowiadają o waszych dobrych dziełach i uczynkach, zwęszają coś, jeśli nie jesteście dobrymi w myśl niewidzialnej dobroci i nie poruszają ich one do głębi istoty, jak gdyby istniało gdzieś miejsce, gdzie odważa się wszystko w obecności duchów, albo raczej, jak gdyby gdzieś tam na dole po drugiej stronie nocy było źródło pewności, w którym nie ma trzoda dusz gasi co rana pragnienie.



Musiało się dość nacierpieć żeby być dobrym, ale kto wie, czy nie musiało się cierpienie wywołać, ażeby się stać lepszym.

Są zaiste nasiona wschodzące w duszy naszej jedynie po deszczu łez wylanych przez nas; a mimo to przynoszą te nasiona dobre kwiaty i zbawienne owoce. Czegoż chcieć? Jest to prawo nie przez nas ustanowione i nie wiem czy odważyłbym się kochać człowieka, który nikomu łez nie wy-



cisnął. Często każą nam ci, którzy nas najlepiej kochają, cierpieć najwięcej, gdyż nikt nie wie, jakie to serdeczne i trwożliwe okrucieństwo bywa niespokojną siostrą miłości. Miłość szuka wszędy dowodów miłości, a któż nie byłby skłonny znaleźć pierwszych dowodów miłości we łzach ukochanej?

Nawet śmierć nie byłaby dostateczną do upewnienia kochającego, skoro tylko chciałby zezwolić na wymagania miłości, gdyż chwila śmierci wydaje się zbyt krótką serdecznemu okrucieństwu miłości. — Po drugiej stronie śmierci jeszcze dość miejsca na całe morze wątpliwości i ci nawet, którzy razem umierają, nie umierają może bez niepokoju. Potrzeba tutaj długich i powolnych łez. Ból jest pierwszą strawą miłości, a wszelka miłość, wykarmiona małością czystego bólu, umiera jak dziecię przy piersi, które chcieliby żywić, jak dorosłego człowieka. Czy będziesz jednaką miłość odczuwał dla kobiety, pozwalającej ci się zawsze uśmiechać i dla takiej, która cię czasem pobudza do płaczu? Ach, potrzeba koniecznie, żeby miłość płakała, a często bardzo w chwili, kiedy się da słyszeć szlochanie, kowa się łańcuchy miłości i zwilża się je dla życia...



Niechaj wszyscy, skarżący się na jakąś istotę, wnukną sami w siebie i zapytają tam siebie, czy byli kiedy dobrymi wobec tej istoty. Co do mnie, nie spotkałem nikogo, kto nie stałby się lepszym odemnie w tej samej chwili, w której u jego boku odczułem ruch mej niewidzialnej dobroci. Bądźcie dobrymi w głębi, a zobaczycie, że otaczający was

ludzie staną się dobrymi aż do głębi tej samej. Nic nie odpowiada niezawodnej na tajemne wołanie dobroci, od tajemnego wołania dobroci sąsiedniej. Dopóki się dobrze czyni niewidzialnie, dopóty wszyscy zbliżający się robić będą rzeczy, jakich nie mogliby dokonać u boku kogoś innego. Jest w tem moc bezimienna, duchowa, współzawodnictwo wprost nieodparte. Chciałoby się powiedzieć, że właśnie znajduje się najczulszy punkt naszych dusz, gdyż są takie dusze, które zapomniały na pozór o tem, że istnieją, wyrzekły się wszystkiego, co podnosi istotę, ale przybywszy na to miejsce, przychodzą wszystkie do siebie, a na boskich niwach tajemnej dobroci nawet najmniejsza dusza nie ponosi klęski.

A jednak może być, że nic się nie zmienia w życiu wiecznem, ale czyż tylko to ma znaczenie i czy składamy się jedynie z uczynków, które można wziąć w rękę, jak kamyki uliczne, ilekroć chodzi o pytanie, jakie powinniśmy sobie co wieczora zadawać: „Co dzisiaj nieśmiertelnego spełniłem?“ Czy należy zawsze najpierw szukać wśród rzeczy, które można bez omyłki liczyć, ważyć i mierzyć? Być może, że wylewamy nadzwyczajne łzy, że napełniamy serce niesłychanemi pewnością i wracamy duszy życie wieczne, chociaż tego nikt nie spostrzega, chociaż sami o tem nie wiemy. Może się zdarzyć, że nic się nie zmieni, że podczas próby wszystko się zapadnie i że ta dobroć osłabnie przy pierwszej obawie. To nic. Stało się coś boskiego, a nasz Bóg się musiał uśmiechnąć. Czy takie odrodzenie w nas tego, co nie wysłowne, nie jest może najwyższym celem życia? A czy my wiemy, co przysparzamy naszemu bo-

gactwu, budząc odrobinę tego co niepojęte, a śpi po wszystkich kątach? Tu rozbudziliście miłość a ona nie zaśnie na nowo. Dusza, która waszą duszę spostrzegła i wylała z wami niedostrzeżone, święte łzy uroczystej radości, nie będzie się na was gniewała także wśród swoich cierpień. Ona nie potrzebuje nawet wcale przebaczać. Jest taką pewną, że coś nie da się już niczem zniszczyć i jej uśmiech wewnętrzny nigdy nie zblednie, bo nie nie zdoła rozłączyć dwu dusz, które przez chwilę były „razem dobrymi“.

Dlaczego obawiamy się tak bardzo wyczerpania istniejącego w nas nieba? Nie mamy odwagi występować wedle ożywiającego nas Boga. Boimy się wszystkiego, co się nie da określić słowami i gestami, zamykamy oczy na wszystko co czynimy w owym zakresie, gdzie objaśnienia są zbędne. Skąd pochodzi u człowieka lęk przed boskością? Zaiste, możnaby powiedzieć, że im bardziej ruch duszy zbliża się do boskości, tem usilniej staramy się ukryć przed wzrokiem braci. Czyżby człowiek nie był niczem innym, jak tylko lękającym się Bogiem? A może zakazano nam zdradzać wyższe potęgi? Wszystko, co nie należy do tego aż nazbyt widocznego świata, ma w sobie wzruszającą pokorę owej chorej córeczki, której matka nie woła gdy obcy wejdą do domu. I dlatego ukryta dobroć nie przekroczyła nigdy milczących bram naszej duszy. Żyje w nas jak niewolnica, której zabroniono zbliżać się do kraty. Zresztą niema zupełnie potrzeby zbliżać się do niej. Wystarczy już to samo, że jest. Niechaj się kryje; skoro tylko podniesie głowę, przesunie jedno ogniwo swoich kajdan, albo dłoń swoją rozchyli, robi się jasno

w więzieniu, wentyle dla powietrza otwierają się nieco pod naporem wewnętrznej jasności i nagle okazuje się otchłań pełna aniołów, poruszających się wśród słów i istot; wszystko zamilka spojrzenia odwracają się na chwilę, a dwie dusze padają sobie z płaczem w ramiona na progu...

Mylimy się co do Boga, jak biedni lunacy lub ślepi, szukający rozpaczliwie świątyni, — w której się właśnie znajdują. Stoimy tutaj w życiu, człowiek przeciwko człowiekowi, dusza przeciwko duszy, a dzień i noc upływają nam pod bronią. Nie widzimy, nie dotykamy siebie. Widzimy tylko tarczę i hełmy, a dotykamy jedynie spiżu i stali. A ilekroć jakaś drobna okoliczność pochodząca z naiwności niebios, sprawi, że broń opadnie na chwilę, czyż wówczas nie znajduje się zawsze łez pod hełmami dziecięcego uśmiechu za tarczami, czy nie spostrzega się innej prawdy?



Gdyby do nas zesłała jakaś istota z innego świata i zażądała od nas najwyższego kwiecica naszej duszy i tytułów szlachectwa ziemi, co daliby wówczas? Niektórzy wymieniliby filozofów, nie wiedząc sami, co czynią. Zapomniałem, kto to inny znów powiedział, że ofiarowałby Otella, Króla Leara i Hamleta! Dobrze; my tem czemś nie jesteśmy! Sądzę, że dusza nasza umarłaby ze wstydu w głębi naszego ciała, wiedząc dobrze, że jej skarby widoczne nie na to są, by je oczom obcych odkrywać, ponieważ nie zawierają nic, prócz fałszywych kamieni. Nawet najpokorniejszy z nas, uważa się w samotnych chwilach, kiedy wie to, co musi wiedzieć, za uprawnionego do tego, by za

niego świadczyło coś innego, a nie arcydzieło. Jesteśmy istotami niewidzialnymi. Nie mielibyśmy zesłańcowi niebios nic do powiedzenia, ani do pokazania, a to, co w nas najpiękniejsze, wydałoby się nam naraz podobnem do owych starych pamiątek rodzinnych, mających dla nas w głębi szuflady taką wartość, a wyglądających tak oplakanie, gdy się je nagle wydrze na chwilę z ciemności i pokaże komuś obojętnemu. Jesteśmy istotami niewidzialnymi, które żyją tylko w sobie samych, a uważny obserwator odszedłby nieraz nic nie przeczuwając. gdyby się o to łaskawie nie wdała nasza dusza. Ona tak chętnie umyka przed małemi rzeczami, a tak trudno ją w życiu odnaleźć, że człowiek obawia się zawołać ją na pomoc. A jednak jest ona zawsze obecną i nie zawodzi nigdy, ani nie zawodzi drugich pod tym względem, że skazaną jest na czekanie. Niespodziewanemu wysłannikowi niebios pokazałaby złożone ręce człowieka, jego oczy pełne snów bezimiennych i jego wargi, nic nie mogące powiedzieć; a może wówczas, jeśli godnym jest zrozumienia, nie pragnąłby już wiedzieć nic więcej.



Jest to prawdą na pewno, a jeśli chcieć, to najpotężniejszą i najpewniejszą z prawd wszystkich, że życie nasze jest znikome, że wszelkie nasze marzenia i pożądanja są śmiechu warte, że nasze i planety naszej istnienie jest tylko nędznym przypadkiem. A jednak i to jest prawdą, że życie nasze i ta planeta są dla nas najważniejszym, nawet jedynie ważnem zjawiskiem w dziejach wszechświata. Która z tych dwu prawd jest praw-

dziwszą? Czy jedna znosi drugą nieodzownie, albo, czy mielibyśmy bez drugiej siłę do wypowiedzenia pierwszej? Jedna zwraca się do naszej wyobraźni i może się przydać w jej zakresie, lecz druga obchodzi nasze życie istotne. Nie idzie o to, żeby się uczeplić najprawdziwszej z prawd wszechświata, lecz najważniejszej myśli człowieka. Nie wiemy, czy wszechświat ma jaki cel i sens, czy mu zależy na losie naszego rodzaju czy nie, i dlatego prawdopodobna daremność naszego rodzaju jest prawdą, obchodzącą nas jedynie pośrednio i jest nierozstrzygniętą. Natomiast druga prawda, dająca nam pojęcie o znaczeniu naszego życia, jest wprawdzie prawdą ciaśniejszą, ale chwilowo obchodzi nas bezpośrednio i nieodparcie. Byłoby to przewrotnością podporządkowywać i poświęcać ją obcej prawdzie. Pewnie, że nam wolno nie tracić z oka pierwszej; ona drugiej ostoja i światłem, ona nie pozwala nam zostać próżnymi, ograniczonymi niewolnikami swoimi, lecz każe nam korzystać ze wszystkiego, czego ta druga w sobie nie zamyka. Jeśli nas jednak pozbawia odwagi i ubezwładnia, to pochodzi to stąd, że nie uświadamiamy sobie dokładnie, jakie wybitne wprawdzie, lecz niepokojące stanowisko zajmuje ona wśród prawd najważniejszych. Pierwsza zależy od pewnej liczby kwestji dotąd nierozwiązanych, gdy tymczasem problematy drugiej rozwiązuje co chwila życie. Ponadto znajduje się ona jeszcze w owem gorączkowym, niebezpiecznym stadjum przez jakie muszą przejść wszystkie prawdy, wciskające się do naszego rozumu. Mam na myśli okres zazdrości i wyłączności, w którym żadnych innych prawd obok siebie

się nie znosi. Trzeba zaczekać aż gorączka przemienie a mieszkanie, przygotowane w naszym duchu, stanie się istotnie wielkiem i zdrowem. Wówczas nadejdzie chwila, kiedy sprzeczne ze sobą prawdy nie będą widziały nic oprócz tego, co je jednoczy: łącznik tajemnicy, kiedy się milcząco jednoczą w wyniesieniu na tron i popieraniu tej z nich, która spokojnie pracowała dalej, podczas kiedy inne wypadały z równowagi; tej, która najwięcej zdziałać może dobrego i najwięcej przynosi nadziei.



Nasz rozum jest od pewnego czasu zbyt skłonny do uważania się za wystarczający, a jednak potrzeba mu do wzrostu i rozkwitu w życiu wszystkich sił naszych, wszystkich uczuć i namiętności, całej sfery niewiadomego, wszystkiego tego, co stoi po jego stronie i tego, co stawia mu czoło. A pokarmem, jakiego mu najwięcej potrzeba, są wielkie troski, ciężkie strapienia i szlachetne radości naszego serca. One to są dlań rzeczywiście tem, czem deszcz dla lilij a rosa dla róż. Wychodzi mu to na dobre, gdy się uczy uginać i przechodzić w milczeniu obok pewnych życzeń i marzeń tego serca, które nie zawsze rozumie, a jednak światło w sobie ukrywa. Ono to doprowadziło go już nieraz do prawd, szukanych nadaremnie na granicach myślenia.

Jesteśmy niepodzielną duchową całością i tylko dla ułatwienia wyrazu wolno nam po zbadaniu oddzielić myśli rozumu od namiętności i uczuć naszego serca.

Każdy jest mniej lub więcej ofiarą tego uro-

jonego podziału. W młodości powiada się sobie, że będzie się jaśniej widziało w wieku późniejszym. Wierzy się w to, że nawet najdumniejsze namiętności mącą i przesłaniają myślenie i zapytuje się w poczuciu nie wiem jakiej nadziei, jak daleko dosięgnie myślenie, skoro zapanuje niepodzielnie nad marzeniami serca i uspokojonymi zmysłami. Tymczasem, gdy przyjdzie starość, rozum będzie jasny ale już dlań nie będzie przedmiotem. Nie ma już nic do czynienia i pracuje w próżni. W ten sposób możemy w tych zakresach, gdzie rezultaty tego podziału najbardziej podpadają pod zmysły, stwierdzić ogólnie, że dzieła wieku starszego nie są warte tyle, co dzieła młodości lub dzieła wieku męskiego. Ich twórca ma wówczas wprawdzie mniej doświadczenia i o wiele mniej wiadomości, ale nie zdławił w sobie jeszcze tajemniczych sił, obcych rozumowi.

Nasz rozum powinien się zatem starać wznieść się nad doświadczenie. W młodości to bardzo łatwe. Byłoby jednak zbawiennem, gdyby także wiek męski i starość nauczyły się wznosić do tej jasnej niewiedzy lat młodych. W miarę, jak nam życie uchodzi musimy się uzbrajać przeciwko niebezpieczeństwom grożącym naszej ufności w ludzkość ze strony wielkiej liczby złych ludzi, spotkanych w życiu. Musimy w dalszym ciągu działać, kochać i spodziewać się jak gdybyśmy mieli do czynienia z idealną ludzkością. Ten ideał to tylko większa prawda od tej, którą widzimy. Zbrodnia jednostki tak samo nie mąci czystości i niewinności, jak fale na powierzchni głębokiego przeźrocza morskiego, gdy się na nie, jak to wiedzą aeronauci, patrzy z pewnej wysokości.



Zło jest, biorąc wszystko razem, dobrem, które się ludzi.

Człowiek jest w rdzeniu swojej istoty tak moralnem stworzeniem, że nawet wówczas, kiedy sam przeczy wszelkie moralności, to przeczenie zawiera już jej rdzeń nowy. W razie potrzeby przejdzie ludzkość i bez przewodników. Pójdzie trochę powolniej ale pewnie przez noce, w których nikt jej nie świeci. Nosi w sobie swe światło, a burze, chwiejące jego płomieniem, ożywiają je także.

Z ludami ma się rzecz tak, jak z jednostkami: liczyć należy tylko to, czego nauczą się siebie i na koszt własny, a błędy terażniejszości są skarbem przyszłości. Na nic się nie przyda wdrażanie w dziecko: „Nie kłam, nie zwódź, nie czyń nikomu nic złego“. Te nauki mądrości, będące zarazem naukami szczęścia, przenikają w człowieka, karmią jego myślenie i stają się dobroczynnymi rzeczywistościami jedynie wówczas, gdy życie objawi mu je jako wspaniałe prawdy, nie przeczuwane przed tem przez nikogo. Równie daremne jest kazanie ludowi, szukającemu swego losu: „Nie wiercie, że liczba ma słuszność, że kłamstwo ze stu gardzieli nie jest już kłamstwem, że pomyłka gromady ślepych zamienia się w prawdę uświęconą przez naturę. Jeszcze mniej wiercie temu, że cośkolwiek wiecie. jeśli w dziesięć tysięcy oprzecie się o jednego uczonego, albo, że zdolacie najskromniejsze prawo świata zmusić do pójścia za wami a opuszczenia tego, który je poznał. Nie, prawo pozostanie u boku mędrca, który je odkrył, a wam to tylko zaszkodzi, jeśli odejdziecie od niego nie przyjąwszy go. Spotkacie je kiedyś na drodze swojego ży-

cia i zwróci się przeciwko wam to, co uczyniliście, by je odwrócić“.

To wszystko, co się tak mówi do tłumu jest bardzo prawdziwe, ale również prawdziwym jest to, że działa dopiero wówczas, kiedy się to przeżyło i kiedy się tego doświadczyło. W zagadnieniach, do których uchodzą wszystkie zagadki życiowe, tłum, błędzący prawie zawsze, zdobywa słusność wbrew mędrcom, który ma słusność. Wzbrania się uwierzyć mu na słowo. Wyczuwa ciemno, że poza najpozorniejszemi, abstrakcyjnymi prawdami stoją niezliczone prawdy żywe, jakich żaden mózg nie zdoła przewidzieć, potrzeba im bowiem do tego czasu, rzeczywistości i ludzkich namiętności, aby objawiły swoje działanie. I dlatego też można go jak chceć ostrzegać, i co chceć mu wygłaszać, on przedewszystkiem będzie się domagał próby.

Tylko wówczas możemy sobie pochlebić. mówiąc, że zrozumieliśmy jakąś prawdę, kiedy odczuwamy nieodpartą potrzebę ukształtowania podług niej całego życia.



Do umiłowania jakiejś prawdy nie zawsze potrzeba, iżby była niezbitą i ostateczną. Jest to już wiele, jeśli da nam poznanie tego, że idee, które kochaliśmy przed nią, nie zgadzają się z rzeczywistością i rzetelnem doświadczeniem. To wystarcza jej, żeby stała się godną całej naszej wdzięczności, dopóki w końcu nie podzieli losu swoich poprzedniczek. Nie złudzenie lub miłość niepewnej prawdy jest tem wielkiem złem, które niszczy nasze życie moralne, oraz zagraża czystości naszego

ducha i charakteru, lecz to, że się trwa w wierności dla idei, którą się już nie całkiem podziela.

Nie należałoby nigdy żałować godzin, w których opuszcza nas jakaś wiara ogromna. Wygasanie wiary, pęknięcie sprężyny, koniec panowania jakiejś myśli, nie panującej już nad nami, ponieważ nam się wydaje, że my nad nią zaczynamy panować, to zawsze znak, że idziemy naprzód; albowiem potrzeba nam wielu rzeczy, jeśli nie stajemy na miejscu. Nie powinno nam nic być miłszym od chwili, kiedy jakaś myśl, która podtrzymywała nas długo, sama się już nie może utrzymać. Nie martwimy się też nawet wówczas, kiedy nie mamy czem zastąpić pękniętej sprężyny! Wolej, by pozostała luka, aniżeli zardzewiała sprężyna — albo prawda, której tylko na poły ufamy. Miejsce jej jest tylko pozornie puste, gdyż w gruncie rzeczy wchodzi na miejsce prawdy określonej jakaś prawda bezimienna, która na swój czas czeka i woła. A chociaż nawet ta prawda pozornie za długo w próżni czeka i woła, chociaż nic nie chce się ukształtować, co zastąpiłoby starą sprężynę, stworzy w końcu potrzeba odpowiedzi — zarówno w życiu moralnem, jak i fizycznem — odpowiedni organ, a prawda ujemna znajdzie w sobie, prędzej czy później, dość siły do puszczenia w ruch zatrzymanego przyrządu. Można też często zauważyć, że życie, mające tylko taką siłę motoryczną, posiada najwięcej siły, zapału i płodności.

Ostatecznie mogłaby wiara przeminać zupełnie, nie zabierając nam nic z tego, co daliśmy jej, a nasze szczere, zbożne i nie osobiste pragnienie uszlachetnienia jej, rozszerzenia i upięknienia nie było daremnem. Każda myśl, o którą ją wzbogaci-

liśmy, każda dobra ofiara, poniesiona przez nas dla niej, zostawia odcisk na naszym życiu moralnym. Ciało przemija, ale pozostanie świątynia, przez nie zbudowana, a miejsce przez nie zdobyte, nie skurczy się nigdy. To też budowanie domów dla prawd nadchodzących, utrzymywanie w dobrym stanie sił mających im służyć i robienie miejsca samym sobie nie jest bynajmniej pracą daremną, lecz dziełem, którego się nigdy wyrzekać nie należy.

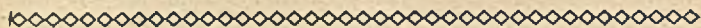
Mogę w zbożny i nieskończony sposób wierzyć że niema Boga, że ja jako zjawisko, nie mam żadnego celu, że istnienie mej duszy, nie jest potrzebniejsze w gospodarstwie bezkresnego świata, od przemijającego zabarwienia kwiatów. Ty możesz w sposób małostkowy wierzyć, że jest jeden Bóg wszechmogący, który ciebie miłuje i przenosi nad innych; będę szczęśliwszy i spokojniejszy od ciebie, jeśli moja niepewność jest większą, poważniejszą i szlachetniejszą od twojej wiary, jeśli serdeczniej zapytywała duszę, jeśli objęła szersze widnokreśli, jeśli więcej rzeczy ukochała. Bóg w którego nie wierzę, stanie się potężniejszym i bardziej pocieszającym od tego, w którego ty wierzysz, jeśli tylko moje zwątpienie wesprze się na myślach i uczuciach szerszych i czystszych od twojej pewności. To też powtarzam raz jeszcze: nie chodzi o wiarę lub niewiarę, lecz o rzetelność, rozmiar, głębię i nieegoistyczność pobudek, dla jakich się wierzy lub nie wierzy.

Nie tyle nasze myśli, ile uczucia, jakie one w nas wywołują, są tem, na czem zależy, co życie nasze uszlachetnia i uduchowia. Myśl jest może celem, lecz z tym celem ma się rzecz tak, jak z celem niejednej podróży: najbardziej przemawia do nas

sama jazda, jej poszczególne części, to co się na drodze znajduje, co nas przypadkowo spotyka. Trwała jest tutaj, jak we wszystkim, jedynie szczerłość ludzkiego uczucia. Nie wiemy nigdy, czy nas myśl jaka nie łudzi, ale miłość nasza ku niej spadnie na nas i ani jedna kropla jej jasności lub siły nie zatraci się w błędzie. Ta idealna istota, którą każdy się stara w samym sobie utworzyć, dochodzi do urzeczywistnienia i znajduje żywność nie tyle w całokształcie wyobrażeń, określających jej zarysy, ile w czystej namiętności, rzetelności, nieegoistyczności jaką otaczamy te wyobrażenia. Sposób, w jaki kochamy rzecz jakąś, uważaną przez nas za prawdę, znaczy więcej od samej prawdy. Czy człowiek nie staje się lepszym przez miłość a nie przez myślenie? Więcej warta rzetelna miłość wielkiego błędu od małostkowego służenia wielkiej prawdzie.

Ta namiętność i miłość może ponadto tkwić tak samo w zwątpieniu, jak w wierze. Są zwątpienia również namiętne i równie wielkoduszne, jak najpiękniejsze przekonania. W każdej myśli, wydającej nam się bardzo wysoką, bardzo czystą albo z gruntu niepewną, jest to najlepsze, że daje nam sposobność ukochania czegoś bez zastrzeżeń. Czy oddaję się jakiemuś bogu, czy człowiekowi, czy ojczyźnie, czy wszechświatu, czy też błędowi, to wszystko jedno: cenny kruszec, jaki się pewnego dnia znajdzie w popiele miłości, nie pochodzi od przedmiotu miłości, lecz od niej samej. Ślad niezatarty pozostawia jedynie naiwność, żarliwość i trwałość szczerego oddania się. Wszystko przemija, zmienia się, i zatracą się może, z wyjątkiem

promieni tej głębi, tej wytrwałości, tej płodności naszego serca.



Tylko wówczas jesteśmy mądrzy na prawdę, jeśli nasza mądrość zmienia się ustawicznie od dzieciństwa aż do śmierci. Im bardziej pogłębia się i pięknieje znaczenie, jakie nadajemy słowu „mądry“, tem bardziej sami mądrzejemy. Każdy stopień mądrości, na który się wydostajemy, powiększa w oczach duszy przestrzeń, jaką mądrość przebyć potrafi.

Mądrość jest o wiele prawdopodobniej pewnego rodzaju głodem duszy, aniżeli produktem rozumu; żyje ponad rozumem. Prawdziwa mądrość zwykła też czynić tysiące rzeczy, których rozum nie uznaje, albo dopiero z biegiem czasu uznawać się uczy. I tak rzekła pewnego dnia mądrość do rozumu, że należy złe dobrem odpłacać i kochać nieprzyjaciół. Rozum wznosił się owego dnia na najwyższą wyżynę swgo zakresu i przyznał słuszność mądrości. Ale mądrość nie jest jeszcze zaspokojona i stara się sama jedna jeszcze dalej przeniknąć.

Nie ten jest mędrce, czyj rozum nie nauczył się słuchać pierwszego skinienia miłości. Czego dokonałby Jezus Chrystus, czego bohaterowie, gdyby ich rozum się nie był poddał? Czy każdy czyn bohaterski nie wychodzi poza granice rozumu? Któżby się jednak poważył powiedzieć, że bohater nie jest mędrszy od tych, którzy trwali w beczynności, ponieważ słuchali rozumu? Powtarzam to raz jeszcze: nie rozum, lecz miłość ma być tem naczyniem, w którym przechowuje się

prawdziwa mądrość. Rozum tkwi wprawdzie u korzenia mądrości, ale mądrość nie jest kwiatem rozumu. Albowiem nie idzie tutaj o mądrość logiczną, czyli o córkę miłości, lecz o tę mądrość, która jest jej siostrą ulubioną.

Rozum i miłość walczą z początku potężnie w każdej pnącej się wysoko istocie, ale mądrość powstaje z pokoju, zawartego ostatecznie w miłości i rozumie. A ten pokój tem głębszy, im więcej praw przyznał rozum miłości.

Mądrość jest światłem miłości, a miłość jest pokarmem światła. Im głębszą jest miłość, tem mędrsza jest zarazem, a im wyżej wznosi się mądrość, tem bardziej zdliża się do miłości. Kochaj a będziesz mądry; bądź mądry a będziesz musiał miłować. Kocha się prawdziwie tylko wówczas, kiedy się lepszym staje, a stawanie się lepszym tyle znaczy, co stawanie się mędrszym. Niema na ziemi istoty, która nie doskonaliłaby czegoś w swej duszy, gdy kocha drugą istotę. Dzieje się to nawet tam, gdzie idzie o miłość pospolitą, kto zaś bezustannie miłuje, nie przestaje kochać tylko dlatego, że się nie przestaje doskonalić.

Wiedzący nie wiedzą nic, jeśli nie posiadają potęgi miłości, gdyż nie ten jest prawdziwym mędrce, kto tylko widzi, lecz ten, kto widzi najszerzej i najbardziej ludzi miłuje. Ale widzieć i nie kochać zarazem, znaczy tyle, co patrzeć w ciemność.



Nie mądrzejemy przez to, że wyrzekamy się otaczającego nas szczęścia, lecz stając się mędrszymi, uczymy się niespostrzeżenie wyrzekać się nie-

jednego szczęścia, które już do nas nie dorasta. Tak samo porzuca dziecko, w miarę wzrostu, zabawy, które nie sprawiają mu już uciechy. Tak samo, jak dziecko więcej się uczy w zabawie, aniżeli w narzuconej mu pracy, tak i mądrość postępuje szybciej w szczęściu, aniżeli uczyniłaby to w nieszczęściu. Nauki nieszczęścia rozjaśniają tylko małą część moralnego życia, a człowiek będący dlatego mądrym, że był nieszczęśliwym, podobny jest do kogoś, kto kochał, ale nie był kochany. W mądrości nie pozna on nigdy tego, co dla drugiego zamknięte w nieodwzajemnionej miłości.

Ilekoć człowiek z niską duszą stara się zmierzyć szczęście wielkiego mędrca, tylekoć przecieka mu to szczęście pomiędzy palce, jak woda, ale w rękę drugiego mędrca twardnieje i poczyna błyszczeć, jak złoto. Można mieć tylko tyle szczęścia, ile zdoła się pojąć. Zdarza się często, że nieszczęście mędrca podobne jest do nieszczęścia innego człowieka, ale jego szczęście nie ma żadnego związku z tem, co niemędrzec nazywa szczęściem. W szczęściu jest o wiele więcej krajów nieznanych, aniżeli w nieszczęściu. Nieszczęście ma zawsze głos jednakowy, ale szczęście milknie w miarę, jak się pogłębia.

Ilekoć kładziemy na jednej szali nieszczęście, tylekoć kładzie każdy z nas na drugiej tylko swoje wyobrażenie o szczęściu. Dziki położy wódkę, proch i pióra, człowiek cywilizowany trochę złota i kilka dni upojenia, ale mędrzec położy tysiące rzeczy, jakich my nie widzimy, może nawet całą swoją duszę i to nieszczęście, które go oczyściło.

Być mądrym znaczy przede wszystkim tyle, co



uczyć się być szczęśliwym, aby przez to nauczyć się przyznawania coraz to mniejszego znaczenia temu, czem szczęście jest samo w sobie. Człowiek powinienby być jak najdłużej najszczęśliwszym, gdyż kto w końcu wyjdzie z samego siebie, przez bramę szczęścia, ten się tysiąc razy więcej zwolni, aniżeli ten, kto wyszedł przez bramę nieszczęścia. Radość mędrca rozjaśnia zarazem jego serce i całą duszę, gdy tymczasem strapienie rozjaśnia często jedynie serce. Człowiek, który nigdy nie był szczęśliwym, podobny jest nieco do wędrowca, który błądził tylko po nocy.

Pozatem znajduje się w szczęściu daleko głębsza i szlachetniejsza, czystsza i szczerza pokora, aniżeli w nieszczęściu. Istnieje pokora, którą należy wliczyć między cnoty-pasożyty razem z bezpłodnem przeczeniem, ślepem wyrzekaniem się, ponurą rezygnacją, duchem pokutniczym i wielu jeszcze innemi. One to zwracały już od tak dawna żywe wody naszej moralności do śpiącego stawu, nad którym krążą jeszcze wszystkie nasze wspomnienia. Nie mówię tutaj o owej niskiej pokorze, będącej aż nazbyt często jedynie rachubą, a w najlepszym razie tchórzostwem pychy, czemś w rodzaju lichwy, jaką próżność dzisiejsza płaci jutrzejszej. Jednakowoż nawet mędrzec wyobraża sobie czasami, że to zbawieniem obniżyć się trochę we własnych oczach, aniżeli przyznać sobie zasługi, do jakich się często ma prawo, gdy się z innymi ludźmi porówna. Taka pokora—choć może być szczerą—odbiera naszej wewnętrznej uczciwości, którą zawsze należy stawiać ponad wszystkim, tyle, ile użyć może łagodności naszej zewnętrznej istoty. W każdym ra-

zie wskazuje to o pewnej trwożliwości sumienia, a sumienie mędrca nie powinno znać wstydu ni trwogi.

Ale obok tej zbyt osobistej pokory istnieje ogólna, wysoka i silna pokora, karmiąca się wszystkim, czego się uczy nasz duch, dusza i serce; pokora, oznaczająca dokładnie, czego się człowiek może spodziewać, pokora zmniejszająca nas tylko na to, by nam powiększyć wszystko, na co patrzymy, pokora pouczająca nas, że wartość człowieka nie polega na tem, co stara się potwierdzić i pojąć. Zapewne, że i ból otwiera nam państwo tej pokory, ale czyni to tylko na to, by nas zaprowadzić prostą drogą do wrót jakiejś nadziei, na której progu niejeden dzień utracimy; tymczasem szczęście, nie mające po upływie kilku godzin nic innego do czynienia, pozwala nam wchodzić w milczeniu na najnieдоступniejsze jej ścieżki. Jedynie mędrzec tak szczęśliwy jak tylko można, potrafi być tak mało wymagający i pyszny, jakim się być powinno. Dopiero, kiedy się już wie, że posiada się nareszcie wszystko, co człowiek może posiadać, zaczyna się poznawać, że wartość tego, co się posiada, polega tylko na sposobie patrzenia się na to, czego człowiek nigdy osiąść nie zdoła. I dlatego to zdobywa się tylko na łonie długotrwałego szczęścia niezawisły pogląd na życie. Nie należy pragnąć szczęścia, by być szczęśliwym, lecz ażeby zobaczyć to, co daremne i bezczynne oczekiwanie szczęścia ukryłoby przed nami na zawsze.



Cierpienie, żal i boleść i wszystko inne, to

tylko podobne nazwy dla rzeczy niepodobnych nigdy do siebie. Gdybyśmy wniknęli aż na dno duszy tych słów, poznalibyśmy, że nazywamy nimi tylko ślady naszych błędów. Tam zaś, gdzie popełnialiśmy błędy szlachetne—gdyż są takie błędy szlachetne, jak istnieją cnoty małostkowe — stało nasze nieszczęście bliżej prawdziwego szczęścia niżeli szczęście tych, którzy są szczęśliwi a nie powiększają zakresu swej świadomości. Czyli kto sądzi, że Carlyle zamieniłby swoje nieszczęście, rozkwitłe w jego duszy, jak olbrzymi i subtelny kwiat, za szczęście małżeńskie bez widnokregu i światła, jakie posiadał najszczęśliwszy z jego sąsiadów Chelsei? A czyż boleść Ernesta Renana po stracie siostry Henrietty nie podziałała lepiej na jego duszę, aniżeli brak bólu u tysiąca innych, którzy siostry kochać nie umieli. Czyż należy żałować kogoś, co w pewne wieczory płacze na wybrzeżu bezkresnego morza lub kogoś, kto bez sensu i powodu przez całe życie uśmiecha się w małej izdebce? Szczęście, czy też nieszczęście — gdybyśmy na chwilę zdołali wyjść z samych siebie i skosztować nieszczęścia bohatera, — iluż z nas chciałoby bez żalu powrócić do swego ciasnego szczęścia.

Jest to więc prawdą, że szczęście i nieszczęście istnieją w nas samych nawet wówczas, gdy pochodzą z zewnątrz. Wszystko co nas otacza, przemienia się w anioła lub diabła, odpowiednio do stanu naszego serca. Joanna d'Arc słyszy głosy aniołów, zaś Macbet czarownic, a mimo to są to głosy te same. Los, na który tak się skarżyć lubimy, nie jest może tem, za co uważaliśmy go dotychczas. Nie ma on innej broni prócz tej, jaką mu

podamy. Nie jest on sprawiedliwy ani niesprawiedliwy, nie feruje nigdy wyroków. To, co uważamy za Boga, jest tylko wysłannikiem przebranym. Pokazuje nam w pewnych godzinach naszego życia po prostu to, że wybiła godzina sądu nad nami samymi.

Oczywiście że drugorzędne istoty same siebie nie sądzą. Właśnie dlatego, że unikają wyroku na samych siebie, wydaje go na nie przypadek. Poddają się losowi niezmiennemu, gdyż los może się wytworzyć tylko podług wyroku, jaki człowiek wydał na siebie samego. W pierwszym zetknięciu się ze wszystkim, co ich spotyka, nie przekształcają zdarzającego się im wypadku, lecz moralnie samych siebie. Przyjmują na się bezpośrednio kształt tego właśnie nieszczęścia, które oplakują i to jego kształt najuboższy, najbardziej zużyty. Wszystko, co im się zdarzy, ma zapach losu. Dla jednego jest on obranym zawodem, dla drugiego zawartą przyjaźnią, dla trzeciego znaną kochanką. Dla nich los i przypadek są dwoma wyrazami tego samego znaczenia, a przypadek rzadko kiedy bywa losem przychylnym. Wszystko w nas, co nie polega władzy naszej duszy, zabiera w posiadanie bezpośrednio nieprzyjazna potęga. Każda próżnia w sercu i w duchu staje się zbiornikiem wpływów losu. Ofelia Shakespeare'a i Małgorzata Goethego podlegają losowi ponieważ są takie słabe, że w ich pobliżu niepodobna wykonać gestu, który nie stałby się gestem losu. Gdyby jednak Ofelia lub Małgorzata posiadały choć część siły, ożywiającej Antygonę Sofoklesa, odwróciłyby nie tylko swój los, lecz także los Hamleta i Fausta. Gdyby zaś murzyn wenecki zamiast starać się o

Desdemonę, pojął był za żonę Paulinę Corneille'a, czy wówczas los Desdemony śmiałby w takich samych warunkach zagrozić wzniosłej miłości Pauliny? Czy to jej ciało, czy też dusza kryły w sobie owo czarne przeznaczenie? O ile zaś jest prawdą, że ciało nie może zdobyć więcej mocy, czyż o tyle dusza nie zawsze może ją zdobyć? Należy zważyć, że dla większości ludzi można sobie wyobrazić jeden tylko los, jedną dolę, która powiedziałaaby: „Od tego dnia nie może twoja dusza ani wzmocnić się ani powiększyć“. Ale czy istnieje los, który miałby prawo tak do nas mówić?



W rzeczywistości cierpi także i mędrzec. Cierpi a cierpienie jest rdzeniem jego mądrości. Cierpi może więcej od każdego innego człowieka, ponieważ jest doskonałym człowiekiem. Cierpi więcej, ponieważ cierpi się tem więcej, im mniej jest się samotnym, im mędrszym zaś jest człowiek, tem mniej się czuje samotnym. Cierpi na ciele, sercu i duchu, gdyż są części ciała, serca i ducha, których żadna mądrość nie zdoła uczynić odpornymi wobec losu. Nie idzie też bynajmniej o uniknięcie bólu, lecz o uniknięcie zniechęcenia i kajdan, nakładanych przezeń każdemu, kto przyjmuje go, jako pana a nie jako wysłańca wielkiego pana, zakrytego jeszcze przed naszym wzrokiem załomem ulicy. Mędrzec zbudzi się pewnie tak samo nagle, jak jego sąsiad, gdy nieproszony wysłańnik zapuka tak, że aż zadrzą ściany jego mieszkania. Będzie musiał zejść i z nim pomówić. Ale podczas rozmowy z nim nie raz spoglądnie badawczo poza ramię wczesnego nieszczęścia

i będzie szukał w pyle na widnokręgu tej wielkiej myśli, którą ono może poprzedziło. W gruncie rzeczy wydaje nam się zło, jakim los może nas porazić, bardzo małym, jeśli się nad tem zastanowić na łonie szczęścia. Skoro zło stanie przed nami, widzi się wprawdzie zmianę w jego wymiarach, lecz gdyby chciało zgasić w nas zarzewie odwagi, musiałoby mu się udać wywołanie na dnie naszego serca wzgardy dla wszystkiego, co kochamy, podziwiamy i ubóstwiamy. Jaka zaś obca potęga zdoła poniżyć w nas uczucie lub wyobrażenie, jeśli nie zdebronizowaliśmy go sami? Czy istnieje — wyjąwszy cierpienia fizyczne — ból, zdolny nas osiągnąć inaczej, aniżeli przez nasze myśli? Kto zatem dostarcza myślom naszym broni, które nas atakują lub bronią? Cierpi się mało własnem cierpieniem, natomiast cierpi się ogromnie przez sposób, w jaki się je przyjmuje. „Sam był winien swojemu nieszczęściu“, powiada Anatol France o tych, którzy nigdy nie spozierają poza ramię nieukładnego wysłańca. „Sam byłem winien swojemu nieszczęściu“, ponieważ wszelka nędza prawdziwa jest wewnętrzną i powodujemy ją sami. Sądzymy fałszywie, wierząc, że pochodzi od zewnątrz. Wytwarzamy ją sobie z naszego własnego materiału.

Nieszczęście przychodzi do nas, lecz robi w nas to, co mu się każe. Sieje, pustoszy lub zbiera, stosownie do wskazówki, znalezionej na naszym progu.

W gruncie rzeczy tylko syntetyczny obraz dni minionych odciska się ze złośliwą lub pełną miłości wiernością w cierpieniach naszego serca. Jeśli mam z życia wspomnienia bez szlachetności i światła a nadejdzie chwila, jaka zawsze nadecho-

dzi, kiedy te wspomnienia w łzy się zmieniają, wtedy łzy te będą także bez szlachetności i światła. Łzy nasze nie mają same w sobie żadnego zabarwienia, mają tylko odzwierciedlać przeszłość naszej duszy, a to, co odzwierciedla, jest dla nas karą albo nagrodą. Jedno tylko nie zamienia się nigdy w cierpienia, a tem jest dobro przez nas dokonane. Ilekroć utracimy ukochaną istotę, wylewamy łzy, nie przynoszące nam ulgi, wspominając chwile, w których nie kochaliśmy jej dostatecznie. Gdybyśmy byli uśmiechali się zawsze do istoty, której już niema, nie doznawalibyśmy łzami, mającemi w sobie coś z osadu tych cnót i pieśzczoł, które sobie przypominamy. Albowiem wspomnienia prawdziwej miłości, będącej aktem cnoty, zawierającej wszelakie inne, wyciskają nam z oczu takie same dobroczynne łzy, jakie wyciskały owe godziny do których się te wspomnienia odnoszą. Niema nic sprawiedliwszego od bólu a tak samo, jak forma odlewu czeka na płynny kruszec, czeka też każde życie na wybicie godziny, kiedy nam wyplacą nagrodę.

Są łzy zewnętrzne, które się otrzeć nie dają, oraz święte godziny, kiedy mądrość jeszcze nie pociesza. Lecz powiedzieć należy jeszcze po raz ostatni: nie idzie o uniknienie bólu, gdyż nie zdoła się go nigdy uniknąć, lecz o wybór z tego, co ból nam przynosi.

Jest to pociechą sprawiedliwych, bohaterów i mędrców, że los nie ma innej mocy nad nimi oprócz tej, że zmusza ich do dobrego. Inni ludzie są jako miasta ze stu otwartymi bramami, przez które los się wciska, ale mędrzec jest miastem warownem z jednym wysokim wejściem, a los może je tylko

wówczas otworzyć, jeśli miłości uda się zapukać do tej bramy. Los, o ile jest wolny, pragnie zawsze czegoś złego, kiedy jednak marzy o zapanowaniu nad sprawiedliwym, musi myśleć nad spełnieniem czegoś dobrego. Wtedy nie atakuje już ciemnością. Sprawiedliwy ma się na baczności w swem świetle i tylko silniejsze światło zdoła go zwalczyć. Los musi się stać piękniejszym od swej ofiary. Stawia on ludzi zwyczajnych pomiędzy bólem własnym a nieszczęściem drugich, natomiast bohatera i mędrca musi przychwycić między jego własnem cierpieniem a szczęściem bliźniego. Tamtych atakuje wsze laka brzydota, do niego zaś ma przystęp tylko z tem, co najpiękniejsze na ziemi. Dla tamtych ma tysiąc broni a nawet kamienie na drodze w broń mu się zamieniają, zaś do ataku na tego ma tylko jeden niezłomny miecz ofiary i obowiązku. Historia Antygony wyczerpuje całe dzieje mocy losu nad mędrcom. Jezus, który za nas umiera, Curtius rzucający się w przepaść, Sokrates wzbraniający się milczeć, siostra miłosierdzia niknąca w oczach nad łóżem chorego i prosty wędrowiec, który ginie, by ocalić drugiego ginącego wędrowca, — oni wszyscy mieli do wyboru i noszą na tem samem miejscu pełną chwały rany Antygony. Zaiste, są w świetle piękne niebezpieczeństwa i niebezpiecznie jest być mądrym każdemu, kto się boi złożyć siebie w ofierze. Kto się jednak boi złożyć siebie w ofierze, gdy wybije godzina szlachetności, ten nie jest chyba zbyt mądry...

Widnokrąg nieszczęścia, oglądamy z wysokości już nie zmysłowego, już nie egoistycznego i nie przeciętnego myślenia, różni się nieznacznie tylko od widnokręgu szczęścia, widzianego z wyżyny



myśli tego samego rodzaju, lecz innego pochodzenia. Mało na tem wogóle zależy, czy chmury, piętrzące się na skraju równiny, są tragiczne czy przyjazne: wędrowca uspokaja to, że znalazł nareszcie punkt, z którego otwiera mu się przestrzeń bezgraniczna. Po morzu nie muszą się koniecznie ślizgać nieustannie białe żagle, iżby nam się to morze wydało tajemniczem i godnem podziwu, niepogoda zaś nie osłabia bardziej życia naszej duszy, aniżeli piękny spokojny dzień. Osłabia ją tylko to, że dzień i noc przebywamy w ciasnej izdebce naszych małych myśli, bez szlachetności, bez namiętności i powagi, chociaż dokoła mieszkań naszych świeci morze i niebo.

Mędrzec, którego miłujemy, powinien stać w samym środku ludzkich namiętności, gdyż namiętności są jedynem pożywieniem naszego serca, a mądrość może się nimi karmić długo i bez niebezpieczeństwa. Nasze namiętności są robotnikami, zesłanymi nam przez naturę dla pomocy budowie naszej świadomości, czyli naszego szczęścia, a człowiek, który nie dopuszcza robotników i mniema, że sam zdoła podźwignąć wszystkie głazy bytu, da swojej duszy zawsze tylko ciasną, zimną i nagą celę za mieszkanie.

Być mądrym, to nie znaczy bynajmniej nie mieć namiętności, lecz oczyścić te, które się ma. Wszystko zależy od miejsca, jakie się zajmuje na drabinie życia. Dla jednego są moralne szkody i choroby stopniami do schodzenia na dół, dla drugiego do wchodzenia na górę. Być może, że mędrzec popełnia jeszcze wiele rzeczy, jakie robi niemędrzec lecz tego pogrążają namiętności coraz to głębiej w popędzie, gdy tymczasem namiętności mędrca

zawsze na tem się kończą, że rozjaśnią jakiś zakątek jego świadomości. Nie musi on kochać, jak szaleniec, jeśli jednak kocha do szaleństwa, to stanie się prawdopodobnie mędrszym, aniżeli, gdyby zawsze kochał tylko rozsądnie. Nie mądrość, lecz rycha w swoim kształcie niepożytecznym dojrzewa w nieruchomości i próżni. Nie dość jest wiedzieć, co czynić, lecz przewidzieć z pewnością, co uczyniliby bohaterowie. Tego można się powierzchownie nauczyć w kilku godzinach. Nie wystarcza mieć zamiar prowadzenia szlachetnego życia i cofnąć się potem do swej izdebki, aby tam pielęgnować ten zamiar. Tak zdobyta mądrość nie zdoła lepiej poprowadzić i upięknąć naszej duszy, aniżeli porady drugich. „Musi się, powiada indyjskie przysłowie, poszukać kwiatu, który otwiera się w ciszy po burzy, ale nie pierwej“.

Nie uczyniono nic, dopóki nie nauczono się rąk hartować dopóki nie nauczono się przepłacać złota i srebra myśli na klucz, którym nie otwiera się już więz z kości słoniowej naszych marzeń, lecz nie pozwalający uciekać bardzo rzeczywistej wodzie, spadającej na dach nasz; albo na wagę, która nie ogranicza się na niepewnem odważaniu tego, co zamierzamy na przyszłość, lecz wskazuje nam dokładnie wagę tego, co uczyniliśmy dzisiaj. Najwyższy ideał jest tylko czemś tymczasowym, dopóki swobodnie nie płynie przez nasze członki, dopóki nie zna dróg i środków przeniknięcia w nas niejako do kończyn palców.



Śmierć to kieruje naszym życiem, a życie nasze nie ma innego celu prócz śmierci. Nasza śmierć

jest formą, którą przepływa nam życie i ona to ukształtowała nasze oblicze. Należałoby robić tylko wizerunki umarłych, gdyż oni tylko są samymi sobą i okazują się na chwilę takimi, jakimi są. A jakież życie nie rozjaśnia się w czystym, zimnym i prostym świetle, padającym na poduszki ostatniej godziny.

Chłopi szkoccy mają słowo, które dałoby się zastosować do każdej egzystencji. „Fey“ zowią w swych podaniach ten stan człowieka, w którym nie odparty wewnętrzny popęd, wbrew wszelakim doradcom i pomimo wszelakiej pomocy, prze go do nieuniknionej katastrofy. I tak „fey“ był Jakób I., Jakób Katarzyny Douglas, kiedy wbrew straszliwym wróżbom ziemi, piekła i nieba wyruszył, aby święta Bożego Narodzenia obchodzić w ponurem zamczysku Perth, gdzie nań czekał jego morderca i zdrajca Graeme. Któż z nas, o ile pamięta okoliczności, towarzyszące rozstrzygającemu w życiu nieszczęściu, nie czuł się opętanym w ten sposób? Mówię tu oczywiście tylko o czynnem nieszczęściu, którego można było uniknąć. Albowiem jest także biernie nieszczęście, jak śmierć ukochanej istoty, które nas poprostu spotyka tak, że nasze uczynki nie mogą mieć na nie wpływu. Przypomnijcie sobie dzień, który zadecydował o nieszczęściu całego waszego życia! Któż z nas nie otrzymał przedtem przestrogi? I dzisiaj nam się wydaje, że cały los mógł się być zmienić, gdyby się było jeden krok uczyniło, tylko drzwi otworzyło, albo rękę podniosło; a jednak któż z nas nie zmagał się napróżno bez siły i bez nadziei na krawędzi między ścianami przepaści z jakąś mocą niewidzialną a wydającą się mu bezsilną.

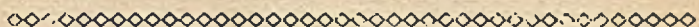
Przeciąg, wpadający drzwiami otwartemi pewnego wieczoru, miał na wieki zdmuchnąć mi szczęście, jakby zagaszył bezsilną lampkę i teraz, ilekroć o tem myślę, nie mogę twierdzić, jakobym o tem nie wiedział. A jednak nie było to nic ważnego, co mnie wówczas na próg zawiodło. Mogłem odejść i wzruszyć ramionami. Żadna ludzka rada nie mogła mnie zmusić do pukania we furcję... żadna ludzka rada; jedynie przeznaczenie.

Podobne to jeszcze trochę do przeznaczenia Edypa, ale jest przecież czemś innym. Możnaby powiedzieć, że to jest przeznaczenie, widziane od środka. Są moce tajemnicze, panujące w nas samych, a będące w zмовie z wypadkami. Wszyscy nosimy wrogów we własnej duszy. Oni wiedzą, co czynią i do czego nas zmuszają, a kiedy wiedzą nas ku zdarzeniu, ostrzegają nas półsłówkami nie tak wyraźnie, żeby nas to wstrzymało na naszej drodze, dostatecznie jednak, ażebyśmy za późno żalowali, że nie posłuchaliśmy ich rad nieokreślonych, szyderczych.

Człowieka, dla którego wybiła godzina nieszczęścia, chwyta wir niepostrzeżony. Latami całemi przędą te moce nić niezliczonych przypadków, które w danej minucie muszą go zaprowadzić na ten punkt, gdzie łyzy na niego czekają. Przypomnijcie sobie wszystkie wasze wysiłki i wszystkie przeczucia! Przypomnijcie sobie pomoc bezskuteczną! Przypomnijcie sobie także owe dobre okoliczności chcące z litości zastąpić wam drogę, a odtracone przez was, jak natrętne żebraczki! A jednak były to przecież biedne zalękłe siostry, które chciały was ocalić i oddaliły się bez słowa

na ustach, zbyt słabe i ulomne, by stanąć do walki z czemś, Bóg wie, gdzie postanowionem!

Zaledwie nieszczęście się stało, doznajemy zaraz osobliwego uczucia, że byliśmy posłuszni odwiecznemu prawu, a nawet wśród największych cierpień wynagradza nam tajemnicza ulga nasze posłuszeństwo. Nigdy nie należymy bardziej do siebie, jak w dzień po katastrofie nie do naprawienia. Zdaje się wówczas, jak gdybyśmy odnaleźli i zdobyli napowrót nieznaną a potrzebną część naszej istoty. Roztacza się w nas osobliwy spokój. Nie wiedzieliśmy o tem prawie, że wówczas, kiedyto potrafilimy się uśmiechać do twarzy i kwiatów, po całych dniach zmagaly się straszliwe, buntownicze moce naszej duszy nad krawędzią przepaści, a teraz, kiedy już na dnie jej leżymy, zaczyna wszystko swobodniej oddychać.



Posąg losu rzuca taki ogromny cień na dolinę, że zdaje się, iż tonie ona w ciemności, ale cień ten ma dla każdego, patrzącego nań z boku góry, bardzo wyraźnie granice. Rodzimy się w nim wprawdzie, ale każdemu wolno wyjść z niego, a chociaż nas słabość lub choroba przykuwają aż do śmierci do zacienionych okolic, przecież i to coś warte, że można się czasem stamtąd oddalić siłą życzenia lub myśli. Być może, że los tym lub owym z nas rządzi surowiej mocą dziedzictwa, mocą instynktu albo mocą innych praw, jeszcze bardziej nieubłaganych, głębszych i mniej znanych, ale wówczas nawet, kiedyto zasypuje nas niezasłużonem i zdumiewajacem nieszczęściem, kiedy nas zmusza do czynów, których nie dokonalibyśmy,

gdyby nie przemoc jego nad naszymi rękoma, kiedy nawet nieszczęście już się stało a czyn się dokonał, zależy zawsze tylko od nas, jaki jest wpływ tego losu na to, co się dzieje w naszej duszy. Jeśli ugodzi w serce z dobrą wolą, to nieszczęście lub poznana pomyłka otworzą mu zawsze źródło jasności. Nie zdoła on przeszkodzić temu, żeby dusza każdą z tych prób nie przemieniła w uczucia, myśli i dobra nietykalne. Jakąkolwiek byłaby potęga losu na zewnątrz, zatrzyma on się zawsze, ilekroć na progu spotka milczącego wartownika wewnętrznego życia. A jeśli mu się potem pozwoli wniknąć do ukrytego mieszkania, sprowadzi się tam tylko, jako gość dobroczynny, aby ożywić na nowo zamarłą atmosferę, odnowić spokój, pomnożyć światło, rozlać pogodę i rozjaśnić widnokrąg.

Któż nie odczuwał, że dobroć daje znaki dobroci, że zawsze za tych samych się oddajemy i tych samych zdradzamy? Czy ten sam ból, pukający do dwojga stykających się drzwi w taki sam sposób zachowa się w domu sprawiedliwego, jak w domu niesprawiedliwego? Czy cierpienia twoje nie będą czystymi, jeśli sam jesteś czystym? Czy to nie jest panowaniem nad przyszłością, że się umiało zamienić przeszłość na ten lub ów smutny uśmiech? A czy się czasem nie wydaje, że moglibyśmy trochę opóźnić nawet coś nieuniknionego? Czy zbyt gwałtowny ruch nie budzi dopiero wielkich przypadków, śpiących na widnokręgu? Czy zdarzyłoby się dziś to nieszczęście, gdyby zbyt rozpuszczone myśli nie hałasowały zanadto w waszej duszy dziś rano? Czy to już cały plan naszej mądrości w tym mroku? Kto śmiałyby twierdzić, że w tych sferach znajdują się prawdy

godniejsze zaufania? Na razie musi się umieć uśmiechać, musi się umieć płakać w milczeniu bardzo pokornej dobroci. Nad temi rzeczami wznosi się zwolna niedokończone jeszcze oblicze dzisiejszego losu. Uchyliła się już nieco zastona, kryjąca je oddawna, a w części odkrytej poznajemy nie bez niepokoju z jednej strony władzę jeszcze nie żyjących a z drugiej władzę umarłych. W zasadzie jest to tylko nowe oddalenie od misterjum. Powiększyliśmy lodowatą rękę losu, a w jej mrokach kładą się dłonie naszych dawnych rodziców. Był to akt, który uważaliśmy za ucieczkę wszelkich naszych wolności: miłość była zawsze ostatnią ucieczką tych, którzy zbyt srodze odczuli kajdany życia. Powiedzieliśmy sobie, że tu przynajmniej, do samotni tej tajemnej świątyni nikt już z nami nie wejdzie. Tu możemy na chwilę odetchnąć, tu panuje nareszcie nasza dusza wybrawszy dowolnie w tem, co jest punktem środkowym wolności. A teraz przyszli i powiedzieli nam, że nie kochaliśmy dla nas samych. Przyszli i powiedzieli, że właśnie w tej świątyni miłości byliśmy posłusznymi niezmiennym prawom niewidzialnego tłumu. Przyszli i powiedzieli nam, że jesteśmy oddaleni od siebie samych o całe stulecia, kiedy wybieramy ukochaną, a pierwszy pocałunek kochanka, to pieczęć tysiąca istot, domagających się życia, wyciśnięta na ustach tej, której pożądamy na swoją matkę. A z drugiej strony wiemy, że zmarli nie umierają. Wiemy już dzisiaj, że nie żyją dokoła naszych kościołów, lecz w naszych domach i we wszystkich naszych zwyczajach, że niema ani jednego gestu, ani myśli, ani grzechu, ani łzy, ani atomu zdobytej świadomości, któryby się zatracił

w łonie ziemi i że w naszych najmniej znaczących czynnościach wstają nasi przodkowie nie z grobów, gdzie się już nie porusza, lecz na dnie naszej istoty, gdzie żyją nieprzerwanie...

W ten sposób kieruje nami przeszłość i przyszłość a teraźniejszość, tworząca życie nasze, opada na dno morza, jak wysepka, którą ogryzają ustawicznie dwa niezgodliwe oceany. Dziedziczność, nasz los i wola, to wszystko miesza się hałaśliwie w naszej duszy, ale mimo wszystko i ponad wszystkim panuje milcząca gwiazda. Przylepia się tymczasowe napisy na ogromnych naczyniach, a słowa na nich nie mówią może nic o tem, co byłoby do powiedzenia. Dziedziczność a nawet los, to tylko promień tej gwiazdy zbłąkany w tajemniczej nocy. A wszystko miałoby może prawo być jeszcze bardziej tajemniczem. „Nazywamy losem wszystko, co nas ogranicza“, powiedział jeden z mędrców tegoczesnych i dlatego należy się wdzięczność wszystkim, którzy się dotyczą tych granic. „Gdy jesteśmy brutalni i barbarzyńscy — dodaje — to i przyznanie przyjmuje brutalne i barbarzyńskie formy. Gdy wnosimy się na wyżyny kultury duchowej, wówczas przeciwnik nasz przybiera także na się postać duchową“. Być może, że w miarę wznoszenia się naszej duszy, oczyszcza się także los nasz, chociaż i to jest prawdą, że grożą nam te same utrapienia, co dzikim. Natomiast mamy jeszcze inne, których oni nie przeczuwają, a duch wznosi się tylko na to, aby po wszystkich widnokręgach coraz to nowe odkrywać. „Nazywamy losem to wszystko, co nas ogranicza“. Baczmy, iżby los zbyt nie się nie ścieśnił! To piękne, mnożyć swoje utrapienia, gdyż przez to rozszerza się



swoją świadomość, ona zaś jest jedynym miejscem, w którym odczuwa się życie. Jest to zarazem jedynym środkiem spełnienia najwyższej powinności względem innych światów, albowiem do nas jedynie należy prawdopodobnie wzmaganie świadomości ziemi.



Należałoby niemal powiedzieć, że ludziom zdarza się tylko to, czego sami chcą. Mamy zaiste mały tylko wpływ na pewną liczbę zdarzeń zewnętrznych, ale mamy władzę wszechmocną nad tem, co z tych zdarzeń robi się w nas samych, to znaczy na owo duchowe coś, tworzące świetlaną nieśmiertelną formę każdego zdarzenia. Są tysiące i tysiące istot, w których owo duchowe coś, pragnące powstać z każdej miłości, z każdego nie-szczęścia albo z każdego spotkania, ani na chwilę nie nabiera życia. Te istoty przesuwają się, jak beżpańskie dobro po rzece. Następnie istnieją takie, w których ta część nieśmiertelna wszystko inne pochłania; są one jako wyspy na morzu, ponieważ znalazły punkt stały, skąd rozkazują losom wewnętrznym, a prawdziwe przeznaczenie jest loseni wewnętrznym. To, co im się przydarza, przyćmiewa lub rozjaśnia życie większości ludzi, natomiast wewnętrzne życie tych, o których mówię, przemienia cudownie samo z siebie wszystko, co je spotka. Kiedy kochasz, to nie miłość oznacza zarazem twoje przeznaczenie; świadomość, jaką znajdziesz na dnie twej miłości, ukształtuje twoje życie. Gdy cię zdradzono, nie idzie o samą zdradę; przebaczenie, jakie urodziła w twej duszy ta mniej lub więcej ogólna, mniej lub więcej wznio-

śła, mniej lub więcej przemyślana natura tego przebaczenia, spowoduje wzrost twojej egzystencji ku owej spokojnej wniebowziętej stronie losu, gdzie lepiej siebie poznasz, aniżeli, gdyby ci dochowano wierności. Jeśli jednak zdrada nie pomnożyła naiwności, wyższego zaufania i rozmiarów twojej miłości, w takim razie zdradzono cię zupełnie niepotrzebnie i możesz sobie powiedzieć, że nic się nie stało.

Być świadomym samego siebie znaczy dla największych ludzi to samo, co mieć do pewnego stopnia świadomość własnego losu. Znają oni część swej przyszłości, gdyż są już sami częścią tej przyszłości. Ufają sobie, ponieważ wiedzą już dzisiaj, co zrobi się ze zdarzeń w ich duszy. Zdarzenie samo dla siebie jest czystą wodą, nalaną nam przez szczęście; nie ma zwykle ani smaku, ani barwy, ani zapachu. Piękniej albo mętniej, robi się słodkiem lub gorzkim, działa zabójczo lub ożywczo, stosownie do właściwości przyjmującej je duszy. Otaczających nas ludzi spotykają tysiące i tysiące zdarzeń, jeżących się niemal od kielków bohaterstwa, a jednak nic się do bohaterstwa nie wznosi, skoro tylko zdarzenie przeminie. Ale Chrystus spotkał na swojej drodze gromadkę dzieci, jawno grzesznicę, czy też Samarytanę i ludzkość wznosi się po trzykroć na boską wyżynę.

Pamiętajmy o tem, że nie spotyka nas nic w odmiennym od nas samych gatunku. Każdy wypadek przedstawia się naszej duszy w kształcie zwyczajnych jej myśli, a sposobność do bohaterstwa nie nadarzyła się nikomu, kto od szeregu lat nie był milczącym i posępnym bohaterem. Wspinaj

się na góry, albo zejść na doliny, podąż na koniec świata albo obejść dom twój dokoła, wszędzie spotkasz zawsze tylko siebie na drogach przypadku. Jeśli Judasz wyjdzie z domu dziś wieczorem, natknie się na Judasza a z nim ma sposobność do zdrady, gdy natomiast Sokrates otworzy drzwi swoje, zastanie na progu śpiącego Sokratesa i sposobność do tego, żeby był mądrym. Przygody nasze okrażają nas, jak pszczoły ul przed wyrojem. Czekają, póki myśl królowa nie opuści nareszcie naszej duszy, a skoro tylko wyleci, skłębiają się dokoła niej. Kłam a zlecają się kłamstwa, kochaj a grono zdarzeń tryskać będzie miłością. Zdaje się, że wszystko czeka tylko na znak wewnętrzny, a jeśli dusza nasza będzie mędrszą wieczorem, to zmądrzeje także nieszczęście, rano przez nią wyzwane.

Tych, którzy nic nie czynią, aby je do siebie powołać, nie spotykają nigdy wielkie zdarzenia, a jednak nawet najdrobniejszy przypadek zawiera w sobie rdzeń wielkiego wewnętrznego zdarzenia. Są one jednak niewolnikami sprawiedliwości i każdy otrzymuje tylko taki udział w zdobyczy, na jaki sobie zasłużył. Stajemy się zupełnie tem, co odnajdujemy w spotykających nas szczęśliwych lub nieszczęśliwych wypadkach, najbardziej niespodziane kaprysy szczęścia przywykają do nabierania kształtu naszych myśli. Szaty, ozdoby i broń losu spoczywają w naszym życiu poprzedniem. Kiedy Sokrates i Tersytes w jednym dniu tracą jedyne go syna, nieszczęście Sokratesa nie jest podobne do nieszczęścia Tersytesa. Nawet śmierć, uważana za niezmienną, ma w domu dobrego inne obyczaje, gesty i łzy, aniżeli w domu

złego człowieka. Zdaje się, że szczęście i nieszczęście oczyszczają się, zanim zapukają do drzwi mędrca, a zaś się pochyla, wchodząc w duszę przeciętną.



Cierpienie, zmienione w duszy twojej w łagodność, pobłażanie i cierpliwy uśmiech, nie powróci już bez ozdób duchowych; zaś błędy albo braki, którym w oczy patrzyłeś, są błędami, nie mogącymi już szkodzić ani tobie ani drugiemu.

Jeśli prawdą jest, że coś w rodzaju predestynacji panuje nad wszelkimi okolicznościami życia, w takim razie musiałaby ona znachodzić się w naszym charakterze, a czyż charakter nie jest tem właśnie, co najłatwiej zmienić zapomocą dobrej woli? Czyż nie zmienia on się ciągle u większości istot? Czy w trzydziestym roku życia ma się ten sam charakter, co w dwudziestym? Poprawił się albo popsuł w miarę tego, jak się widziało trjumfy kłamstwa i nienawiści, niedobrych instynktów i złości albo prawdy, miłości i dobroci. I wierzyło się, że się widziało trjumfy kłamstwa i nienawiści, albo miłości, prawdy lub kłamstwa w miarę mniej lub więcej wzniosłego wyobrażenia, wyrobionego w sobie o szczęściu i ostatecznym celu żywota. To, ku czemu zwraca się z góry nasze tajemne pożądanie, to, zdaje się, musi odnieść zwycięstwo. Jeśli się zwraca oczy w stronę złego, zło wszędzie odnosi zwycięstwo: skoro jednak nauczyło się zwracać wzrok na prostotę, szczerłość i prawdę, zobaczy się na dnie wszelkich rzeczy tylko potężne milczące zwycięstwo tego, co się miłuje.

Nie rozszerzajmy samowolnie zakresu tego, co nieuniknione. Ludzie silni istotnie wiedzą dobrze, że nie znają wszystkich sił, sprzeciwiających się ich planom, uderzają jednak na znane sobie tak odważnie, jak gdyby żadnych innych nie było i odnoszą często trjumfy. Nasze bezpieczeństwo, nasz spokój i szczęście nasze utrwalimy właściwie dopiero w owym dniu, kiedy nasza niewiedza i lenistwo przestaną nazywać nieszczęsem wszystko, co nasza żądza czynu i rozum musiały nazwać naturalnem i ludzkim.

Tylko wtedy można się wydobyć ze zbyt ciasnego szczęścia ludzkiego bez wewnętrznego powołania i ze zwyczajnych czynności, kiedy z pewną siebie, silną wolą wstępuje się na znaną ścieżkę i ustawicznie myśli się o niezbadanej przestrzeni, którą ta ścieżka przebiega. Nawyknijmy do takiego postępowania, jak gdyby podlegało nam wszystko, starajmy się zaś przytem utrzymywać w duszy naszej ciągle myśl poddania się w szlachetny sposób wielkim potęgom, mającym się z nami spotkać. Trzeba, żeby ręka sądziła, iż przewidziało się wszystko, tajemna jednak, nieetykalna i nieprzekupna myśl nie śmie zapomnieć o tem, że wszystko, co wielkie, nie da się prawie nigdy przewidzieć. Owo nieprzewidzialne, owo nieznanne wykona to, czego nie spodziewaliśmy się po sobie. Przychodzi ono nam jednak na pomoc tylko wtedy, kiedy wie, że ma na dnie naszego serca poświęcony sobie ołtarz. Należy się tylko przypatrzeć, jaki to udział ludzkie o nasilniejszej woli, jak Napoleon, przypisują szczęściu w swoich nadzwyczajnych uczynkach. Tylko ludzkie nie żywiący podniosłej nadziei, zamykają przypadek,

jak słabe dziecię. Tamci pozostawiają mu te wszystkie bezgraniczne przestrzenie, których człowiek nie ma jeszcze sił zmierzyć; ale go tam z oczu nie tracą.

Dopóki nieszczęście nie zaatakuje wewnętrznej dumy człowieka, ma on jeszcze dość siły do dalszej walki i do spełnienia głównego swego zadania. Polega ono na tem, żeby żył z całą żarliwością, do jakiej tylko jest zdolny, jak gdyby jego życie miało o wiele większe znaczenie od każdego innego.

Człowiek tylko wówczas oddaje się na pastwę losu, kiedy źle czyni.

Akt niesprawiedliwości otwiera ofierze szeroką tę samą furtę do jej duszy, którą ona zamyka przed katem, a człowiek cierpiący oddycha potem czystsze powietrze, aniżeli ten, który zadał cierpienie. Na dnie serca prześladowanych jest sto razy jaśniej, aniżeli na dnie serca prześladowców. Czyż całe zdrowie szczęścia nie zawisło od pewnej jasności, jaką mamy w sobie samych? Istota ludzka, sprawiająca ból, więcej w sobie gasi szczęścia, aniżeli zdoła zgasić w tym, na kogo napadnie.

To szczególne, że niepodobna w złem osiągnąć wewnętrznego życia. Żadna istota, nie posiadająca choć trochę szlachectwa duszy, nie ma wewnętrznego życia. Może ona nawet znać siebie, może wiedzieć, dlaczego nie jest dobrą, ale nie posiędzie nigdy ani tej siły, ani schronu, ani tego skarbu niewidzialnych zadowoleń, jaki posiada każdy mogący bez trwogi wnijść do swego serca. Życie wewnętrzne składa się tylko z pewnego

szczęścia duszy, a dusza nie będzie nigdy szczęśliwą, jeśli nie może w sobie kochać czegoś czystego.

Jedynym sposobem podbicia losu jest to, żeby czynić coś przeciwnego, złemu do którego chciałby nas zmusić.



Powiadamy, że „wszystko się wynagradza”. Tak, na dnie naszego serca i w zakresie tego, co ludzkie, wynagradza się wszystko mocą sprawiedliwości a monetą wewnętrznego szczęścia i nieszczęścia. Poza nami, w otaczającym nas świecie, wynagradza się także wszystko, ale szczęście i nieszczęście nie przechodzą już przez te same ręce. Tutaj płaci się w inny sposób, z innych powodów i mocą praw innych. Nie rządzi tu sprawiedliwość sumienia, lecz logika natury, nie znająca naszej moralności. W nas panuje duch, odważający tylko zamiary, poza nami władza, odważająca jedynie fakta. Wyobrażamy sobie chętnie, że oboje działają w porozumieniu wzajemnem. Natomiast w rzeczywistości wie ta władza tak samo mało o duchu, oglądającym się za nią czasami, jak człowiek, ważący w północnej Europie węgle, o człowieku, ważącym w południowej Afryce djamenty. Mieszymy często ze sobą nasze poczucie sprawiedliwości z tą pozamoralną logiką i to jest źródłem większości naszych pomyłek.

Zresztą nie uchodziłoby nam, żebyśmy uskarżali się na obojętność wszechświata i określali ją jako potworną i niepojętą. Nie mamy prawa oburzać się na niesprawiedliwość w przygodach i chorobach, ani w większości zewnętrznych przypadków, godzących ślepo w dobrego i złego:

w zdrajcę i bohatera, w siostrę miłosierdzia i truciicielkę. Lubimy jednak zaliczać wielką ilość wyłącznie ludzkich niesprawiedliwości, o wiele częstszych i bardziej morderczych od burz, chorób i pożarów, do rubryki niesprawiedliwości wszechświata. Nie mówię nawet o wojnie, chociaż możnaby mi zarzucić, że mniej należy ją przypisywać naturze, aniżeli woli królów i narodów. Weźmy jednak na przykład ubóstwo, zaliczane przez nas wciąż jeszcze do nieodpowiedzialnych nieszczęść, jak zaraza lub rozbitcie okrętu — ubóstwo z jego ohydny mi cierpieniami i dziedzicznymi skutkami. Ile razy należy je przypisać niesprawiedliwości żywiołów a ile razy niesprawiedliwości naszych społecznych stosunków, nie będących niczem innym, jak sumą wszystkich ludzkich niesprawiedliwości? Czemu wobec niezastudzonej nędzy szukamy niezbadanej przyczyny lub sędziego w niebie, jak gdyby chodziło o uderzenie piorunu? Czyż nie wiemy, że znajdujemy się tu w najlepiej nam znanej i najpewniejszej części naszego własnego zakresu, że to my organizujemy tę nędzę i że rozdzielamy ją pod względem moralnym tak samo dowolnie, jak ogień swoją wściekłość a choroby swoje cierpienia? Czy to rozumne dziwić się, że może świat nie liczy się ze stanem duszy swojej ofiary, skoro my sami, posiadający duszę, czyli najszlachetniejszy organ sprawiedliwości, nie liczymy się z niewinnością tysięcy nieszczęśliwych, będących ofiarami naszymi? Czy to nas usprawiedliwia, że wykluczamy władzę, spoczywającą w naszym ręku ze wszystkiego, co stanowi naszą troskę codzienną, aby ją podnieść do godności władzy przeznacze-



nia? Zaprawdę, szczególnie z nas sędziowie i równie szczególnie zalotnicy idealnej sprawiedliwości! Wpadamy w drgawki od jednego krańca świata do drugiego, skoro gdziekolwiek zdarzy się pomyłka sądowa; ale błąd, skazujący na nędzę trzy czwarte naszych braci i taki sam ludzki, jak sądowa omyłka, przypisujemy nie wiem jakiej nieokreślonej, niedostępnej i nieubłaganej potędze! Kiedy zacnemu człowiekowi z naszego sąsiedztwa urodzi się dziecko ślepe, głupowate, lub nieudale szukamy wszystko jedno gdzie, choćby w mrokach niewyznawanej już przez nas religji, jakiegokolwiek boga, aby jego drogi wybadać. Gdy natomiast dziecko urodzi się w ubóstwie, które los tej istoty spycha w dół o kilka stopni, nie mniej od najcięższych ułomności, ani nam przez myśl nie przejdzie postawić pytania Bogu, będącemu wszędzie tam, gdzie i my, ponieważ jest przecież wytworem naszej woli. Zanim zażądamy idealnego sędziego, należałoby nam samym oczyścić nasze idee, bo ten sędzia będzie miał udział w brakach tych idei. Zanim zaczniemy się uskarżać na obojętność natury i szukać w niej słuszności, jakiej ona nie zna, wartoby z naszych ziemskich religji wykorzeń wszelkie niesprawiedliwości. Po ich usunięciu bowiem okaże się, że pole, dane niesprawiedliwościom przypadku, zmniejszyło się o dwie trzecie, a w każdym razie o tyle, o ile zmaląłoby, gdybyśmy potrafili uzbroidź burzę w rozsądek, wulkan w rozważę, lawinę w ostrożność, mróz i zimno w oględność, a morze w zmysły i czujność na nasze ochoty i ukryte zamiary. Jest w istocie więcej ubogich, aniżeli rozbitków i ofiar zewnętrznych nieszczęśliwych przypad-

ków, a daleko więcej chorób powodu ubóstwa, aniżeli z kapryśków naszego organizmu, lub wrogiego usposobienia żywiołów.

Sprawiedliwość lub niesprawiedliwość naszych zamiarów nie ma żadnego wpływu na podstawę natury względem nas, ale zawsze ma wpływ decydujący na nasze stanowisko względem natury. Jak we wszystkich zagadnieniach społecznej sprawiedliwości, przypisujemy to wszechświatowi lub nieobjętej, odwiecznej zasadzie losu rolę, jaką sami odgrywamy, a mówiąc, że niebo, natura, sprawiedliwość albo rzeczy karzą nas, oburzają się lub mszczą się na nas stwierdzamy tylko, że to w gruncie rzeczy człowiek karze człowieka poprzez rzeczy, że oburza się ludzka natura i że się mści ludzka sprawiedliwość.

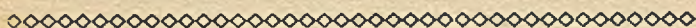
Ale nieugięcie się przed sprawiedliwością o tyle, o ile ją się zna, jest pokazywaniem wrogim potęgom, rodzącym się z najdrobniejszych naszych uczynków, tej przepaści, jaka się otwiera między tem, co nasz rozum zdoła pojąć i pragnąć a tem, czego może dokazać charakter. Zaledwie bowiem promień błyskawicy oświetli na chwile tę przepaść, rzucają się w nią wszystkie te potęgi, i to jest początkiem naszej zguby.

O ile najskromniejszy umysł czuje się w sprawiedliwości, jak w domu i może bez trudu przepowiedzieć wszelakie skutki niesprawiedliwego uczynku o tyle nawet najgłębszy i najbystrzejszy umysł jest we własnej niesprawiedliwości jak na obczyźnie i nie uda mu się przepowiedzieć ani dziesiątej części jej skutków. Niechaj genjusz spróbuje tylko trochę zboczyć od poczucia spra-

wiedliwości, spoczywającego w sercu prostego wieśniaka, zaraz przestanie wiedzieć dokładnie, gdzie jest. A cóż dopiero, jeśli przekroczy szranki własnej sprawiedliwości? Kiedy bowiem rozum podnosi wyżej sprawiedliwość, ujmuje wszystko, co odkrywa, w nowe szranki i wzmacnia zarazem stare, postawione przez instynkt, czyniąc je coraz trudniejszymi do przebycia. Wszystko wypada nam z ręki natychmiast, jeśli tylko przekroczymy granice zwyczajnej słuszności; kłamstwo odpląca się sto, a zdrada tysiąckrotnie. Dopóki żyjemy w sprawiedliwości, jesteśmy pełni ufności, gdyż istnieją rzeczy, których najgorszy zdrajca nie zdoła poplamić zdradą; przechodząc jednak do niesprawiedliwości, musimy niedowierzać nawet najsprawiedliwszym, gdyż w niektórych rzeczach nawet oni nie mogą dochować wiary. Cały nasz moralny organizm przeznaczony jest do życia w sprawiedliwości, jak ciało do życia w atmosferze kuli ziemskiej. Wszystkie nasze zdolności polegają na niej w daleko głębszem znaczeniu, aniżeli na prawach ciężkości, ciepła lub światła, a gdy się je zanurzy w niesprawiedliwości, zanurza się je w czemś nieznanem i wrogiem. Wszystko w nas uporządkowane jest na rzecz sprawiedliwości, wszystko na nią wychodzi, prowadzi nas ku niej i spieszy naprzeciwko niej, gdy tymczasem na dnie niesprawiedliwości stajemy ciągle do zapasów z własnymi siłami. Kiedy zaś w godzinę nieuniknionego odwetu okażą narreszcie rzeczy swoją sprawiedliwość, kiedy niebo, świat albo to, co niewidzialne oburzą się i wystąpią przeciwko nam, płaczącym i żałującym, nie

znaczy to, że one były sprawiedliwe teraz lub niegdyś, lecz, że to my, pomimo naszych uczynków pozostaliśmy sprawiedliwymi w niesprawiedliwości.

Niech siła rządzi w wszechświecie a sprawiedliwość w naszym sercu.



Wszyscy ludzie miłują sprawiedliwość, ale nie wszyscy równie ognistą, niepoohamowaną i wyłączną miłością. Nie wszyscy mają te same wątpliwości, tę samą delikatność uczucia i tę samą pewność. Znajdują się istoty o bardzo rozwiniętym rozsądkiem a uczucie ich dla tego, co słuszne, jest mniej delikatne i pewne aniżeli u niejednej istoty z bardzo przeciętnym rozumem. Owa mało znana i trudna do określenia część naszej istoty, zwana charakterem, ma na to wpływ bardzo wielki. Trudno jednak oznaczyć wartość tego, czego rzetelny poprostu charakter domaga się od mniej lub więcej świadomego rozumu. Oprócz tego idzie też przedewszystkiem o to, w jaki sposób można w nas mnożyć i oczyszczać poczucie sprawiedliwości. Pod tym względem jedno jest pewne: nasz charakter zaczyna się usuwać z pod bezpośredniego wpływu dobrej woli, gdy tymczasem rozum podlega jej w zupełności. Uszlachetniamy część naszej miłości, sprawiedliwości, zależną od charakteru przez to, że każemy jej przejść przez nasz rozum, gdyż w miarę podnoszenia i oczyszczania się rozumu dochodzi on także do opanowania, oczyszczenia i przemiany naszych uczuć, namiętności i popędów.

To, co się nam dzisiaj wydaje nienagannie

niesprawiedliwem, jest tylko drobnym ułamkiem tego, co wydałoby nam się sprawiedliwem, gdybyśmy stali na innym szczeblu. Wystarczy porównać to, co uczyniliśmy wczoraj z tem, co dzisiaj czynimy, a to, co dzisiaj czynimy, wydałoby się nam pełnem występków przeciwko słuszości, miłosierdziu i miłości gdyby nam było danem wznieść się jeszcze wyżej i porównać to z tem, co jutro zrobimy. Coś się zdarzy, jakaś myśl się rozjaśni, wystąpi dokładniej jakiś obowiązek względem nas samych, zaznaczy się jakiś związek niespodziany i w tej chwili zachwiewa się cały organizm naszej wewnętrznej sprawiedliwości i przekształca się. Żebyśmy najmniej naprzód postąpili, nie zdołalibyśmy ponownie żyć wśród utrapień, których byliśmy niedobrowolną przyczyną, albo wśród pewnych zniechęceń, rozsianych przez nas nieświadomie. A jednak zdawało nam się wtedy, mieliśmy słuszość i nie domyślaliśmy się nawet, że nie mieliśmy słuszości. Tak samo jesteśmy dzisiaj zadowoleni z naszej dobrej woli, powiadamy sobie, że nikt z naszej winy nie płacze i nie cierpi, jesteśmy przekonani, że nie dławimy uśmiechu, nie tłumimy szeptu szczęścia, nie ściszamy ani minuty pokoju i miłości a nie widzimy może bezgranicznej niesprawiedliwości, pokrywającej na prawo i na lewo trzy czwarte całego życia.



Działając w świecie zewnętrznym tak, jak gdyby zbawienie naszych braci zależało wyłącznie od naszej działalności, wolno nam zupełnie jak dawnym mędrcom, wejść w siebie czasem.

Może w naszym wnętrzu znajdziemy także „jedną z owych rzeczy, którym wystarczy się przypatrzeć“, aby sobie zapewnić, jeśli nie zupełny spokój, to przynajmniej niezniszczalną nadzieję. Skoro natura wydaje nam się niesprawiedliwą, skoro nic nie uprawnia nas do twierdzenia, że jakaś wyższa władza, albo umysł wszechświata, tu lub w innym świecie, wedle praw naszego sumienia, lub innych jakich, które dnia pewnego uznamy, rozdziela nagrody i kary, — skoro następnie między człowiekiem a człowiekiem czyli w stosunkach z równymi nam sprawiedliwość, zawsze jednak niezupełna, podlega błędom naszego rozumu, intrygom osobistego interesu i tkwi jeszcze głęboko w złych zwyczajach „podludzkiego“ społecznego stanu, — musi być pewnem, że każdy poszczególny człowiek zachowuje na dnie swego wewnętrznego życia obraz tej niewidzialnej, niezniszczalnej i niechybnej sprawiedliwości, której szukaliśmy daremnie w niebie, w wszechświecie i w społeczeństwie. Usuwa się ona oczywiście przed wzrokiem innych ludzi, a często nawet przed naszą własną świadomością, dlatego jednak, że jest ukrytą i nietykalną, nie traci jej działanie nic na swej głębi, nie przestaje ona być ludzką i aż do dna rzeczywistą. Zdaje się, że słyszy wszystko, co myślimy, mówimy i za czem dążymy w świecie zewnętrznym, a jeśli na dnie tego wszystkiego jest trochę dobrej woli i szczerości, zamienia to na sumę sił moralnych, które rozświetlają nam życie wewnętrzne, rozszerzają je i pomagają nam jeszcze lepiej myśleć, mówić i dążyć do czegoś, co nastąpi w przyszłości. Nie powiększa ona ani nie zmniejsza naszych bogactw,

nie odwraca ani choroby, ani piorunu, nie przedłuży życia uwielbianej istoty, ale skoro nauczymy się kochać i myśleć, czyli innemi słowy, spełnimy względem ducha nasz obowiązek tak samo jak względem serca, to utrzyma ona na dnie ducha i serca zrozumienie i nie żyjące w złudzeniu, lecz szlachetne i niewyczerpane zadowolenie oraz godność istnienia. One wystarczają do zaspokojenia potrzeb życiowych, kiedy już skarby utraczone, kiedy w nas ugodziły choroba i piorun a uwielbiana istota zniknęła z objęć naszych na zawsze.

Dobra myśl i dobry czyn dają naszemu sercu nagrodę której w braku jakiegoś sędziego światów i jakiegoś moralnego porządku nie mogłoby się od rzeczy świata zewnętrznego spodziewać, Szczęście, którego nie zdoła wyczarować z zewnętrznego świata, stara się ta sprawiedliwość wywołać w nas samych i wypełnia duszę tem więcej, im bardziej brak jej zewnętrznych dopływów. Stwarza miejsce dla rosnącego zrozumienia i miłości dla wzrastającego pokoju. Nie poradzi nic na prawa natury, ale całkiem na prawa, od których zależy równowaga ludzkiego sumienia. I oto odnosi się do wszystkich stopni myśl jakoteż do wszystkich stopni czynu. Robotnik pędzący, jako ojciec rodziny, rzetelnie swoją skromną egzystencję i w ten sposób czyniący zadość swemu obowiązkowi pracy, a człowiek wytrzymujący w heroizmie moralnym, stoją istotnie w wielkim od siebie odstępie. A jednak żyją i działają na tymsamym planie i stoją obydwa na tym samym rzetelnym, poważnym i pocieszającym gruncie. Zapewne, że to, co mówimy i czynimy, wpływa wielce na nasze materjalne szczęście, ale nawet ma-

terjalnego szczęścia używa człowiek trwale i gruntownie tylko za pomocą organów duchowych. I dlatego myślenie nasze ma jeszcze większe znaczenie. Na czym jednak jeszcze więcej zależy, przy sposobie, w jaki umiemy wchłaniać radości i cierpienia życiowe, to na charakterze, na usposobieniu duchowem i tym stanie moralnym, jaki wywołało nasze myślenie, mowa i uczynki. Tu okazuje się przedziwna sprawiedliwość, a zgodność trwałej woli serca i ducha z wewnętrznym szczęściem naszej moralnej istności jest o tyle potrzebniejszą i zupełniejszą, o ile szczęście nie jest niczem innym, jak obliczem dobrej myśli i uczucia, promieniejącym ku nam samym. Tu znajduje się istotnie ów moralny łącznik między przyczyną a skutkiem, którego na próżno szukaliśmy w świecie zewnętrznym. W rzeczach moralności istnieje rzeczywiście sprawiedliwość, panująca nad żyjącem na dnie naszego serca złem i dobrem, czego pragnęlibyśmy tak bardzo w sprawach fizycznych. A czy to życzenie z niej nie wynika, czy ta sprawiedliwość nie jest w naszym sercu tem samem podwójnie potężną i żywą, że tak trudno nam nabrać przekonania, iż we wszechświecie jej niema?

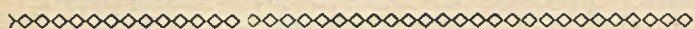


To nie wszystko jedno, czy nas otaczają fałszywe obrazy, czy nie; nawet wówczas, gdy wiemy, że są fałszywe. Zwodnicze obrazy zajmują przecież wkońcu miejsce właściwych myśli, które przedstawiają. Ale czy też używanie innych obrazów, czy ucieczka do prawdziwych obrazów nie oznacza zacieśnienia nieskończono-



ści i misterjów? Gdyby się nawet chciało, byłoby trudno pole to poważnie zacieśnić. Odnajdzie się je na dnię problemów moralnych, na dnię serca ludzkiego. Nie wchodzi tu w rachubę ta okoliczność, że misterja nie będą już te same, co dawniej pod względem swego położenia i formy. Władza ich i sfera działania pozostają przecież prawie te same. Weźmy, choćby jedno z tych misterjów t. j. istotność owej najwyższej, czysto duchowej sprawiedliwości wśród ludzi, która, chociaż bez narzędzi, broni i organów, często bardzo powolna w swym działaniu, jest jednak prawie zawsze pewną i utrzymuje się niezmiennie w świecie, gdzie przecież wszystko prawie zdaje się sprzyjać niesprawiedliwości. Czy ten fakt nie ma tak samo głębokich tak samo niewyczerpanych przyczyn i skutków, czy nie zdumiewa i nie budzi podziwu tak samo, jak istnieje i mądrość wszechmocnego sędziego? A może przekupuje on nas tem, że jest bardziej niezbadany? Czy dla geniuszu więcej jest źródeł piękna i powodów do ćwiczenia własnej bystrości w tem, co jest prawie nie do wyjaśnienia, aniżeli w tem co się daje wyjaśnić? Czy w szczęśliwej, lecz niesprawiedliwej wojnie — wymieniam tylko wojny Rzymian, podboje Hiszpanów w Ameryce, Napoleona i dzisiejszą Anglję — czy w szczęśliwej, lecz niesprawiedliwej wojnie, kończącej się zawsze zniemoralnieniem zwycięzcy i spychającej go w nawyczki samozłudzenia i grzechy, dzięki którym triumf go drogo kosztuje — nieubłagane działanie psychologicznej sprawiedliwości mniej jest może podniosłe i potężne od wdania się w sprawę nadprzyrodzo-

nej sprawiedliwości? A czy nie można powiedzieć tego samego o mieszkającej w każdym z nas sprawiedliwości, rozszerzającej lub zwężającej, w miarę dążenia do dobrego lub złego, przestrzeń pokoju, miłości i wewnętrznego szczęścia, w naszym duchu i sercu?



Każda niesprawiedliwość zachwiewa zaufanie, pokładane przez jakąś istotę w sobie i swoim losie. W pewnym czasie wyrzekła się ona w swej najpoważniejszej godzinie budowania tylko na sobie samej. Nigdy jej to nie wypadnie z pamięci i ten człowiek nigdy się odtąd nie odnajdzie. Wyprowadził szczęście swoje z równowagi i zaprzepaścił je prawdopodobnie na zawsze, wpuściwszy raz obce moce. Utracił wyraźnie poczucie swojej osobistości i siły. Nie rozróżnia już całkiem jasno, co zawdzięcza samemu sobie a co bierze ustawicznie od zgubnych pomocników, przywołanych przez jego bezsilność. Nie jest już wodzem, rozkazującym wojsku żołnierzy, lecz dowódcą bandy, mającym tylko pomocników. Wyrzekł się swej człowieczej godności, gardzącej sławą, do której człowiek uśmiecha się smutnie, jak się uśmiecha do niewiernej, lecz kochanej kobiety.

Człowiek, naprawdę silny, bada skrupulatnie uznanie i pożytki, płynące z jego czynów i odrzuca wszystko, co przekracza granicę, nakreśloną mu przez sumienie. Będzie on tem silniejszy, im szczelniej ta linja przylega do linji, nakreślonej przez tajemną prawdę, leżącą na dnie wszechrzeczy. Akt niesprawiedliwości jest

prawie zawsze przyznaniem się do bezsilności wobec losu i niepotrzeba wielu wyznań w tym rodzaju, aby nieprzyjacielowi ukazać to miejsce naszej duszy, które zranić najłatwiej. Popętnić niesprawiedliwość, aby zdobyć sławę niewielką, albo zabezpieczyć sobie tę, którą się już posiada, znaczy tyle, co przyznać się do niezdolności zdobycia lub zatrzymania tego, czego się sobie życzy. Znaczy to tyle, co wyznać, że nie potrafi się rzetelnie wykonać obranej roli. Mimo to chce się jednak utrzymać na wierzchu i na tem zaczynają się w życiu przeliczenia się, zawody i kłamstwa...

W końcu po dwu lub trzech obłudach, po dwu albo trzykrotnej zdradzie, kilku niedochowaniach wiary, pewnej ilości kłamstw, zawinionych zaniedbań i słabości, daje nam przeszłość nasza obraz zniechęcający, a nam tak bardzo potrzeba tego, żeby nas przeszłość wspierała! Tylko w niej znamy siebie naprawdę: ona to mówi do nas w naszych wątpliwościach: „Ponieważ tanto zrobiłeś, możesz to także zrobić. W tamtem niebezpieczeństwie, w tamtej chwili trwogi nie drżałeś. Zaufałeś sobie i zwyciężyłeś. Okoliczności są te same, więc zachowaj swą wiarę. Gwiazda twoja będzie ci wierna“. Ale co mamy odpowiedzieć, kiedy przeszłość nasza nam szepnie: „Udawano ci się dotąd tylko zapomocą niesprawiedliwości i kłamstwa, dlatego musisz jeszcze raz skłamać i oszukać“. Nikt chętnie nie zwraca znużonych oczu ku kłamstwu, ku rzeczy niskiej i wiarołomstwu; wszystko zaś przeszłe, czego nie możemy ująć wzrokiem silnie, jasno i z zadowoleniem, zacieśnia widnokrąg na-

szej przeszłości. Tylko mogąc pójść daleko w przeszłość, zdobywa oko nasze siły do wnikania w przyszłość.

Władza przeszłości jest rzeczywiście jedną z najbardziej człowiekowi ciężących i przygniatających go w utrapieniu. Mimo to żadna inna nie byłaby tak skłonną i chętną do pójścia w oznaczonym przez nas kierunku, gdybyśmy tylko tę ochotność umieli lepiej wyzyskać. Jeśli dobrze zwarzyć, to przeszłość należy do nas tak samo rzeczywiście jak terażniejszość, a daleko więcej od przyszłości zupełnie w naszym myśleniu i w naszym ręku, a dzieje się to nietylko z przeszłością materjalną, gdzie możemy ustawić na nowo utworzone przez nas zwaliska, lecz i z temi częściami przeszłości, które, jak się zdaje, przepadły bezpowrotnie dla naszych późniejszych dobrych zamiarów. Odnosi się to mianowicie do naszej przeszłości moralnej i do wszystkiego w niej, czego jak nam się zdaje, niepodobna już naprawić.

Powiadamy: „Co minęło, to minęło“. Ale to nie jest prawdą, bo przeszłość jest ciągle obecna. — Powiadamy także: „Dźwigamy ciężar naszej przeszłości“. I to także nie prawda, bo przeszłość dźwiga nasz ciężar. „Nic nie zatrze przeszłości — i to nieprawda. — Teraźniejszość i przyszłość przebiegają na skinienie woli naszej przeszłość i zaciera ją w niej wszystko, co chcielibyśmy tam wymazać. „O niezniszczalna, nie do naprawienia, niezmienna przeszłości!“ I to także nieprawda. To terażniejszość jest czemś niezmiennem i nie do naprawienia dla tych, którzy tak mówią. Moja przeszłość jest licha, smutna

i pusta“, mówimy także czasem, „nie widzę w niej ani minuty piękna, szczęścia albo miłości, nie widzę nic prócz zwalisk, lecz bez wielkości“. A jednak to wszystko nieprawda, gdyż widzi się w niej dokładnie to, co wkłada się w nią w chwili patrzenia się na nią.

Przeszłość nasza zależy zupełnie od terażniejszości i zmienia się ustawicznie z nią razem. Przyjmujemy bezpośrednio kształt naczyń, w jakie ujmuje ją nasze dzisiejsze myślenie. Zawiera się w naszej pamięci, niema zaś nic zmienniejszego, nic bardziej podległego wrażeniom, nic mniej samoistnego od pamięci. Nasze serce i rozum obrabiają i zapładniają ją ustawicznie, one zaś zwiększają się lub zmniejszają, poprawiają się lub pogarszają w miarę celu naszego dążenia. Na czem każdemu z nas z przeszłości zależy, co nam z niej pozostaje i co tworzy część naszej istoty, to nie dokonane uczynki, ani to, cośmy przeżyli, lecz moralne skutki, jakie w nas teraz wywołują te zdarzenia. To jest nasza wewnętrzna istota, w której tworzeniu brały udział, a skutki te, tworzące wewnętrzną wyższą istotę, zawisły wyłącznie od sposobu patrzenia się na minione zdarzenia. Zmieniają się stosownie do moralnej podstawy, jaką w nas zastaną. Ale równocześnie zmienia się ta moralna podstawa naszej istoty z każdym wyższym stopniem, osiągniętym przez nasz rozum i uczucie i niebawem zaczynają najbardziej niezmiennie fakta wyryte w przeszłości, jak w kamieniu lub w bronzie, całkiem inaczej wyglądać, przesuwać się i ożywiają na nowo, dają nam większe i śmielsze rady, porywają za sobą w górę pamięć i budują z kupy zwalisk,

gnijących dotąd w ciemności, nowe miasto zaludniająca się na nowo, oblane światłem na nowo wschodzącego słońca.

Całkiem dowolnie ustawiamy za sobą pewną ilość zdarzeń. Wypędzamy je na widnokrąg pamięci skoro się tam tylko znajdują, wmawiamy w siebie, że należały do świata, w którym wszystkie wysiłki ludzkie, razem wzięte nie zdołałyby podnieść ani jednego kwiatka, otrzeć ani jednej łzy. A jednak, co za szczególne przeciwieństwo! Przyznając, że już na nią wpływu nie mamy, jesteśmy pewni, że skutki jej trwają w nas dalej. Na prawdę działają na nas tylko o tyle, o ile my sami wyrzekamy się działania na nie. Przeszłość zatrzymuje się tylko u tego, u kogo wstrzymało się życie moralne. Dopiero wówczas tężeje ono i zmienia się w straszliwą postać, kiedy ten zastój nastąpi. Od tej chwili leży poza nami rzeczywistość coś niezmiennego, a ciężar czynów naszych opada nam na barki. Dopóki jednak życie duchowe i charakterowe nie dozna przerwy, unosi się ona nad naszą głową i czeka zupełnie tak, jak owe łaskawe chmury, które Polonjusz pokazuje Hamletowi, na nasze spojrzenie, aby jej nadało postać nadziei lub trwogi, strapienia lub wesołości, zaczerpniętej z nas samych.

Skoro tylko osłabnie nasza czynność moralna nadlatują minione zdarzenia i napadają na nas. Biada temu, kto drzwi przed niemi otworzy i pozwoli im się zagnieździć w swem domowem ognisku! Obsypują go na wyścigi darami, zdolnymi w wysokim stopniu do złamania odwagi. Najszczęśliwsza i najszlachetniejsza przeszłość jest tak samo niebezpieczną, jak najmętniejsza i naj-

bardziej zbrodnicza, jeśli pozwolimy jej zagnieździć się u nas, nie jako zaproszonemu gościowi, lecz jako wciskającemu się pasożytowi. Podczas bowiem, gdy ta druga nic nie przenosi oprócz wyrzutów wobec samego siebie, tak tamta jedynie bezpłodną tęsknotę, a wyrzuty i tęsknota szkodzą jednakowo, jeśli wtargną w ten sposób. Aby z przeszłości zaczerpnąć tego, co ona kosztownego zawiera — a w niej kryją się wszelkie nasze bogactwa — należy do niej zajechać, kiedy się jest w pełni sił. Jak pan, odwiedzający swą własność, musi się w niej wybierać to, co się właśnie podoba, resztę zaś jej zostawić i zakazać zarazem przekroczenia progu naszego, zanim się ją zawoła. Jak wszystko wogóle, co żyje kosztem naszych sił duchowych, przyzwyczai się ona wkrótce nas słuchać. Spróbuje może na początek oporu. Chwyci się próśb i podstępów i zechce nas zatrzymać. Wskaże na zawiedzione nadzieje, niepowrotne uciechy, zasłużone wyrzuty, złamaną wierność, pochowaną miłość, zamarłą nienawiść, zmarnowaną wiarę, utraconą piękność, na wszystko, co niegdyś tworzyło tajemną sprężynę naszego żaru życiowego, na wszystkie cierpienia, kryjące się teraz pod jej zwaliskami i na zgasłe już szczęście. My jednak musimy przejść i usunąć na bok pełnię tych wspomnień nie odwracając głowy, jako sprytny Odysseusz w kimmeryjskiej nocy, wszystkie cienie, których nie wolno mu było pytać — nawet cień matki — odpędził mieczem od czarnej krwi, mającej je ożywić i użyzyć im na krótki czas mowy. Musimy zmierzać wprost do tej a tej uciechy, do tej a tej tęsknoty a do tego a tego wyrzutu wobec samego siebie, którego rady nam trzeba. Musimy tę, a tę

niesprawiedliwość wypytać dokładnie, bądź to, by ją naprawić, o ile to jeszcze ujdzie, bądź też, aby u jakiejś innej niesprawiedliwości, przez nas popełnionej, której ofiary już nie żyją, zaczerpnąć sił do wzniesienia się nad niesprawiedliwości, do jakich dzisiaj jeszcze czujemy się zdolni.

Nawet wówczas, kiedy przeszłość nasza wykazuje zbrodnie, których najlepsza wola już nie zdoła naprawić, ani jej skutków powstrzymać, znikają te zbrodnie rzeczywiście w tej chwili z naszego życia, skoro tylko, spojrzawszy na miejscowe i czasowe warunki, na nieskończony obraz ludzkiego istnienia z większej wysokości doznamy pewnego siebie uczucia, że żadna pokusa, żadna moc na świecie nie mogłaby nas zmusić do popełnienia jej powtórnie. Na świecie się ich nie przebacza, gdyż w sferze zewnętrznej nie wiele się przebacza i zapomina. Działają materialnie dalej, gdyż prawa przyczyn i skutków są odmienne od praw naszego sumienia. Ale dla trybunału naszej osobistej sprawiedliwości, jedyne, mającego stanowczy wpływ na nasze życie nietykalne, jedyne gdzie rzeczywiście badają nas i sądzą aż do nerek, którego orzeczeń nie można ani obejść, ani udaremnić, istnieje zły uczynek — skoro nań spojrzymy z większej wysokości, aniżeli z miejsca spełnienia — na to tylko, ażeby nam powtórzenie go utrudnić. Dopiero od tej chwili ma ten zły uczynek prawo wychylić się przed nami, kiedy na nowo dążymy do przepaści, której on strzeże.

Zapewne, że należy to do największych ludzkich zmartwień, jeżeli się ma za plecami niesprawiedliwości, zamykające, żeby tak rzec, wszystkie drogi tak, że niepodobna odnaleźć ich ofiar, pod-



nieść ich i pocieszyć. Do cierpień najtrudniejszych do zapomnienia, należy świadomość, że nadużyło się swej siły, aby słabszego ograbić już po klęsce ostateczniej, że na śmierć zamęczyło się serce, które nas kochało, lub zapoznało się poprostu wzruszające przywiązanie do nas. Jest to koniecznem, żeby takie rzeczy ciężły na naszym istnieniu. Odpowiednio jednak do stanowiska dzisiejszego sumienia, zależy to jedynie od nas, czy ten ciężar przygniecie cały nasz los moralny, czy też podniesie. To nieuniknione — nic bowiem nie zostaje bez skutku — to nieuniknione, że wiele niesprawiedliwości przez nas popełnionych, powstanie pewnego dnia, aby zażądać tego, co jesteśmy im winni i dokonać upragnionego odwetu. Dosięgną naszej egzystencji zewnętrznej, lecz zanim im się uda dostać do wewnętrznego centrum tego życia muszą przejść przez wyrok, wydany już przez nas samych. Rodzaj tego wyroku oznacza zachowanie się mistycznych wysłanniczek, przybyłych z owych głębi, gdzie sprowadza się wieczna równowaga przyczyn i skutków. Jeżeli z wyżyny naszej nowej świadomości wybadaliśmy i osądziliśmy siebie szczerze, nie zobaczymy nagłych i groźnych mścicielek, wynurzających się ze wszystkich stron, lecz przychylnie przybyszeki, co więcej, niespodziane przyjaciółki, nadchodzące w milczeniu. Wiedzą one już z góry, że nie zastaną już człowieka winnego, którego szukają i zamiast myśli buntowniczych, rozpaczy i nienawiści, zamiast poniżającej i niszczącej kaźni, dadzą nam myśli i kary, uszlachetniające. oczyszczające i pocieszające.



Przeszłość sama w sobie, dla nikogo nie jest szczęśliwą a ulubieńcy losu, oglądając się na to, co im zostało z przebrzmiałych lat najgłębszego szczęścia, mają może większy powód się smucić, aniżeli nieszczęśliwcy, spoglądający w biedzie na ruiny życia. Wszystko, co było niegdyś, a czego dzisiaj już niema, nastraja nas smutno, zwłaszcza, gdy to było bardzo piękne i bardzo szczęśliwe. Przedmiot tęsknoty, chociażby zwracała się ona ku temu, co było, lub być mogło, jest dla wszystkich ludzi tym samym, a jej zmartwienie powinno być takie same. Mimo to takie nie jest; tu panuje nieprzerwanie, a tam ukazuje się tylko w wielkich odstępach czasu. Musi zatem zależeć od czegoś innego, aniżeli od czynów spełnionych. Zależy od sposobu, w jaki człowiek na nią oddziaływa. Zwycięzcy tego świata, nie mający czasu na zamykanie sobie widnokregu urojonemi niezmiennosciami, rodzący się na nowo co rana w nieustannie odradzającym się świecie, wiedzą, że wszystko, co widocznie istnieje, istnieje dziewiczo, że wszystko, co się za skończone uważa, ciągle zamierza się dokonać. Wiedzą oni, że lata, przez czas im zabrane, ciągle jeszcze są czynne i że pod nowym panem słuchają jeszcze dawnego. Wiedzą, że ich przeszłość ciągle jeszcze jest w ruchu, że wszystko, co wczoraj było strapienie, chore i obciążone winą, zjawi się jutro pełne uciechy i niewinności, w odmłodzonej postaci, na drodze przyszłości. Wiedzą, że ich wizerunek z ubiegłych dni nie jest jeszcze dokładnie odbity, że wystarczy jedna decydująca myśl, jeden decydujący czyn, aby wszystko przewrócić. Wiedzą, że cień choćby najdawniejszy i najdalej ciągnący się za nimi, oczekuje z ich strony tylko gestu we-

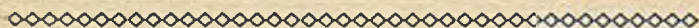
sołości i nadziei, aby ją naśladować natychmiast, aż do skąpych zwalisk z dziecięcego wieku, a nawet wywabić z tych zwalisk niespodziane skarby. Wiedzą oni, że, działając wstecz, może się wszystko zrobić piękniejszym i lepszym i że nawet umarli zniosą swoje wyroki, ażeby przeszłość dzisiaj zmartwychwstała i wniebowziętą osądzić na nowo.

Przedewszystkiem nie zazdrościmy nikomu jego przeszłości! Naszą przeszłość stworzyliśmy sami tylko dla siebie. Ona jedną nam służy, ona jedynie ma nas uczyć prawdy, którejby nas nikt inny nauczyć nie zdołał, ona jedynie może nam użyczyć siły, której nikt daćby nam nie mógł. Czy dobra czy zła, błyszcząca czy mętna, jest ona dla nas niejako muzeum arcydzieł, jedynych w swoim rodzaju, przemawiających do nas jedynie; żadne bowiem dzieło sztuki nie mogłoby odpowiadać czynowi przez nas popełnionemu, pocałunkowi przez nas otrzymanemu, pięknu, przez nas odczutomu, cierpieniu przez nas zniesionemu, trwodze nas uciskającej i miłości, która obsypała nas łzami lub radością. Przeszłość nasza to my sami, jakimi byliśmy niegdyś i jakimi kiedyś będziemy, a w tej sferze nieznannej, w której się poruszamy, nikt nie zdołałby przewidzieć, czy byłby szczęśliwy czy nieszczęśliwy, co by utracił, gdyby jaki obcy ślad położył na miejscu zostawionego w życiu przez siebie. Przeszłość nasza jest też naszą własną, przez usta lat objawioną nam tajemnicą, jest najbardziej tajemniczem odbiciem naszego życia, zaskoczonym przez czas i strzeżonym. Obraz ten nie jest martwy; jakieś nic może go obniżyć albo ozdobić, może on się rozjaśnić lub ściemnić, śmiać się lub płakać, zwiastować niena-

wiść lub miłość, lecz poznać go będzie można zawsze wśród mirjadów otaczających go obrazów. Przedstawia on nas z tyłu tak, jak nas nasze nadzieje i pragnienia przedstawiają w przyszłości, a oba te oblicza zlewają się w jedno, aby pouczyć nas samych o tem, czem jesteśmy.

Nie zdarzenia minione są godnemi zazdrości, lecz ta tkanina duchowa, jaką okrywa mędrca wspomnienie dni, których już niema. Czy ona utkana z bólu czy z radości, w dostatku czy też w nędzy wypadków, zawsze jest jednako kosztowna i nikt, widzący ją błyszczącą na życiu tego, kto ją nosi, nie potrafilby powiedzieć, czy ożywiająca ją gwiazdy i klejnoty, znaleziono w marnym popiele chatki, czy na stopniach pałacu.

Niema pustej lub mizernej przeszłości, niema oplakanych zdarzeń, tylko takie, które oplakanie się przyjmuje. Jeśliby cię rzeczywiście nic nie spotkało, to byłby to najbardziej nadzwyczajny wypadek, jaki kiedykolwiek zdarzył się człowiekowi i mógłbyś zeń wywabić tak samo nadzwyczajne światło. W rzeczywistości te same zdarzenia i namiętności, takie same możliwości i jednokie sposobności czekają na człowieka i starają się o niego. Okoliczności i blask ich są rozmaite, o wiele mniej jednak od ich skutków wewnętrznych, a drobniauchne, niezupełne zdarzenie, wpadające w płodne serce, w płodnego ducha, wyrasta bardzo łatwo do takiej moralnej wysokości i rozmiarów, że podobny wypadek na innem tle, wstrząsnąłby całym narodem.



Na co martwić się przez długi czas swojemi

pomyłkami i stratami? Cokolwiekby się zdarzyło w ostatniej minucie najsmutniejszej godziny, po tygodniu, z końcem roku zostanie dla człowieka dobrych zamiarów zawsze uśmiech, ilekroć w siebie powróci. Uczy się z czasem bez łez żałować. Jest jako pan domu, powracający po ukończeniu dzieła dnia tego. Być może, że dzieci płaczą, bawią się niszczycielsko lub niebezpiecznie, że zbiły szklankę, albo lampę przewróciły: — czy będzie z tego powodu rozpaczal? Zapewne, że z punktu widzenia moralności teoretycznej byłoby lepiej, gdyby się były zachowały spokojnie, gdyby się uczyły czytać lub pisać, ale któryż z rozumnych ojców nie odwróci z uśmiechem głowy podczas najżywszych wyrzutów? Nie oplakuje on tych trochę głupich objawów życia. Nic nie przepadło, dopóki może powrócić, dopóki ma w kieszeni klucze domowego schronu. Tak też polegają w nas dobrodziejstwa naszego powrotu w siebie nie tyle na próbie, na jaką nasza dusza, duch i serce były wystawione, czy też przebyły pod naszą nieobecność, ile na samym tym powrocie. A gdy godziny przejdą, nie rozwiązawszy na naszym progu tajemniczego pasa, kiedy sale opustoszeją, jak na dniu rozstania, kiedy nikt z mających pracować nie ruszy ręką, wówczas jasny odgłos naszych kroków podczas powrotu, powie nam przecież nieco o przestronności, oczekiwaniu i wierności w domu.



Nie zasypiajmy na naszej przeszłości! Im jest szczęśliwszą i pełniejszą chwały, tem bardziej podejrzaną musi się nam wydawać, skoro tylko zacznie się zaokrąglać nad nami, skoro przestanie

zmieniać się ustawicznie pod naszym wzrokiem, skoro terażniejszość przyzwyczai się iść do niej, nie jak dobry robotnik, udający się tam z wykonaniem pracy, lecz jak beczynny, zbyt łatwowierny pielgrzym, zadawałający się oglądaniem starych sztywnych ruin.

Każdy krok, zrobiony w tej godzinie ku nieokreślonemu celowi, ma dla nas większe znaczenie, aniżeli tysiąc mil, przebytych niegdyś ku świetnemu, lecz przedawnionemu zwycięstwu. Przeszłość nasza nie ma żadnego innego celu, jak podniesienie nas do chwili obecnej i dostarczenie nam potrzebnej dla niego broni i doświadczeń, myślenia i radości. Jeśli nas jednak w tej godzinie wstrzymuje, albo zwraca ku sobie cząstkę zdolności do czynu, to jakkolwiek byłaby sławną, byłaby niepotrzebną i wołałaby wcale nie istnieć. Jeśli pozwolimy jej powstrzymać jakiś gest, który zamierzamy zrobić, w tej chwili zacznie się nasza śmierć, a budowie przyszłości nabiorą nagle kształtu grobowców.

Nie należy się uważać za nieszczęśliwego, dopóki się posiada szczęście, które naszemu otoczeniu nie wydaje się nadzwyczajnem. Im mędrszym się jest, tem laeniej się przekonywa, że się ma szczęście. Dobrze jest przekonać się o tem, że najgodniejszymi zazdrości w ludzkim szczęściu są najprostsze momenty. Mędrzec uczy się ożywiać i miłować milczący byt swego życia. Nie daje ono żadnej szczerzej radości prócz tego milczącego bytu, a nadzwyczajnie szczęśliwe przypadki nie mają odwagi towarzyszyć krokom naszym do grobu. Czy musi się dzień przychodzący bez niezwykłych gestów nadziei i radości. przyjmować

tak samo po bratersku i brać w objęcia, jak inne? Nim do nas przybył, musiał przebiec te same przestwory, co dzień, zastający nas na tronie, lub na łożu wielkiej miłości. Może pod swoim płaszczem kryje nie takie błyszczące, lecz pokorniej życiu oddane godziny. Tydzień, który przeminął bez dźwięku, ma tę samą liczbę wiecznych minut, co tydzień głośny i hałaśliwy. Właściwie sami sobie powiadamy to, co jak się zdaje, mówi nam godzina. Jest ona wahającym się trwożliwym wędrowcem, który cieszy się albo trapi odpowiednio do uśmiechniętego, lub ponurego wzroku oberżysty, który go przyjmuje. To nie ona ma nam przynieść szczęście; naszą to rzeczą uszczęśliwić godzinę, szukającą schronienia w naszej duszy. Ten jest mędrcom, kto jej o każdej porze potrafi na swoim progu powiedzieć coś przychylnego. Należy w sobie gromadzić zapas prostych pobudek szczęścia. I dlatego nie wolno nam zaniedbać żadnej sposobności do tego, żeby być szczęśliwym. Spróbujmy najpierw odczuć szczęście, jak to czynią ludzie, a potem dajmy pierwszeństwo szczęściu, odczuwanemu przez nas świadomością przyczyny. Jest z tem tak, jak z miłością. Musiało się wpierw kochać głęboko, zanim się dowiedziało, jak należałoby kochać, kiedy się już nie kocha. Dobrze jest czasem być szczęśliwym w sposób widoczny, aby się nauczyć, jak to się jest szczęśliwym w sposób niewidoczny. Tylko w tym celu należy używać ucha godzinom, mówiącym głośno w swoim upojeniu, aby z czasem nauczyć się języka tych, które zawsze mówią tylko głosem przyciszonym. One jedynie są liczne, niewyczerpane, niezdolne do obłudy, lub — ponie-

waż są takie liczne — do odlotu; mędrzec powinien liczyć na nie. Być szczęśliwym tyle znaczy, co ćwiczyć się w dostrzeganiu ukrytego uśmiechu i tajemniczych klejnotów, nieobliczalnych, bezimiennych godzin. Klejnoty te można znaleźć tylko w sobie samym.



Co to jest w gruncie rzeczy małe życie? Tak nazywamy życie, nic nie wiedzące o sobie, życie, rozgrywające się na ubożu, wśród czterech lub pięciu osób, życie, którego myśli, uczucia, namiętności i życzenia obracają się dokoła rzeczy nieważnych. Dla każdego jednak, kto mu się przypatruje, będzie dzięki temu właśnie, że mu się przypatruje, każde życie wielkiem. Samo w sobie żadne życie nie jest ani wielkie ani małe; widzi się je większem lub mniejszem i oto wszystko. Byt, wydający się wszystkim ludziom wysokim i szerokim, jest to byt, który nabrał zwyczaju mierzyć sam siebie szerokim spojrzeniem. Kto siebie nigdy żyjącego nie widzi, musi żyć w ciasnocie, kto jednak zobaczy, że tak żyjemy, ten właśnie w przeciwności kąta, w którym żyjemy, znajdzie elementy widnokregu i silniejszy punkt oparcia, z którego myśl wzniesie się z bardziej ludzką i pewniejszą siłą.

Wogóle znajduje się najwięcej niezrozumianych dusz wśród tych, które najmniej starały się o pojęcie samych siebie. Wogóle, najslabowitszy, najciaśniejszy i najdowolniejszy ideał, karmi się najwydatniej obawami, rozczarowaniami, pretensjami i małostkową pogardą. Obawiamy się wogóle najbardziej pominięcia lub zapoznania tych



cnót, myśli, właściwości i moralnych piękności, których nie posiadamy, wyjąwszy naszą wyobraźnię. Ze zasługami ma się rzecz tak, jak z materialnymi dobrami; nadzieja przyczepia się zawsze najuporczywiej do tych, których nigdy nie będzie się miało siły zdobyć. W ten sposób łotr, mający zamiar się poprawić, zdumiewa się wysoce, że ludzie nie czczą dostatecznie obudzonej w nim na chwilę uczciwości. Jeśli jednak jesteśmy naprawdę czyści, bezinteresowni i otwarci, jeśli myśli nasze wznoszą się z przyzwyczajenia i naiwnie ponad próżność instynktu, wówczas daleko mniej troszczymy się o to, czy otaczający nas ludzie przyznają nam słuszość, czy nas rozumieją i podziwiają, czy nie. Epiktet, Marek Aureljusz i Antonius Pius nie uskarżali się na to nigdy, że ich nie rozumiano. Nie zdawało się im, że mają w sobie coś niestychanego i niepojętego. Wierzyli przeciwnie, że najważniejsza część ich cnoty polega właśnie na tem, że wszyscy bez trudu mogą to zobaczyć. To, co się zapoznaje — i to nie bez powodu, gdyż w ogólnem lenistwie uczuć leży zawsze jakiś wyższy powód — to są chorowite cnoty, którym przypisujemy zbyt wielką wartość, a każda cnota, której przypisujemy wielką wartość i dla której wymagamy pełnego szacunku, jest chorowita. Chorowita cnota jest często bardziej zgubną od zdrowej zbrodni, a przynajmniej nie jest tak bliską prawdy, a daleko od prawdy nie należy się niczego spodziewać. Im bardziej udoskonala się nasz ideał, tem bardziej zwiększa się ilość rzeczy realnych, jakie dopuszcza, a im bardziej zwiększa się nasza dusza, tem mniej obawia się nie spotkania drugiej tego samego pokroju. Albowiem dusza rosnąca jest

duszą zbliżającą się do prawdy, a niedaleko prawdy bierze wszystko udział w wielkości prawdy samej.

Nie obawiajmy się nigdy tego, że nasz ideał jest zbyt cudowny, iżby się miał przystosować do życia. Wystarczy prąd dobrej woli, aby wyzwolić jakiś akt sprawiedliwości albo miłości. Idee nasze muszą dziesięciokrotnie przeważać nad naszym kierunkiem życiowym, ażeby stały się po prostu prawem. Musi się pragnąć szczególnie wiele dobrego, aby trochę złego uniknąć. Żadna siła na świecie nie doznaje tylu strat, co idea, mająca zstąpić w życie codzienne: to też musi się być heroicznym w myślach, aby w czynach nie być co najwyżej możliwym i nie budzić niechęci.

Jakże długą i męską jest prawie u wszystkich istot droga, wiodąca je od duszy do życia! Z naszymi myślami o zuchwalstwie, sprawiedliwości, rzetelności i miłości ma się rzecz tak, jak z żółędźmi w lesie. Tysiące ich gniją, rozrzucone w mchu, zanim jedno drzewo powstanie.



Tylko wówczas postępuje się naprawdę dobrze, jeśli się to czyni jedynie dla siebie, nie spodziewając się nic więcej nad coraz to lepszą wiedzę dobrego. „Bez innych świadków prócz własnego serca“, — jak mówi Saint Just.

Sądzę, że najlepsi z nas szukaliby innego szczęścia, gdyby cnota była pożyteczna a Bóg zabrałby im ich wielką rację życia, gdyby ich często wynagradzał.

Jesteśmy, ogółem wzięwszy, przecież tylko ułamkami ożywionej materji i dobrze czyni ten,

kto nie zapomina o tem pochodzeniu naszej istoty. Ale to jeszcze nie powód do uwięzienia całego naszego szczęścia i nadziei w pobliżu tego pochodzenia. Wszyscy prawie przez nas w życiu spotykani starają się z rodzajem nieprzemyślanej uporczywości zachować nad sobą przewagę materji. Dość wejść w towarzystwo mężczyzn i kobiet, zabezpieczonych przeciwko najbardziej przygniatającym troskom życiowym, w wyborowe towarzystwo i wymówić tam słowa: radość, szczęście, zadowolenie, ideał. Gdyby się chciało przypuścić, że jakiś anioł chwyta obrazy, wywołane w duszach słyszających te słowa, w zaczarowane lustro lub skrzynię niebieską, co ujrzałoby się w tem lustrze lub skrzyni? Piękne splecione ze sobą ciała, złoto, klejnoty, pałac, ogród rozkoszny, eliksir życia, cudaczne ozdoby i drogie kamienie, słowem wszystko, co odpowiada marzeniom próżności i co — jak to należy przyznać — nie da się pomyśleć bez obfitych uczt, szlachetnych win i suto zastawionych stołów. Czyż ludzkość ciągle jeszcze tkwi tak dalece w swoich początkach, że inaczej pomyśleć nie może? Czyż nie nadeszła jeszcze godzina, kiedy w tem lustrze znajdzie się silny i bezinteresowny rozum, uspokojone sumienie, sprawiedliwe i kochające serce lub spojrzenia i uwagę, zdolną ująć i przeniknąć wszelkie piękno świata, godzin wieczornych, miast, mórż i lasów, jakoteż oblicza, uśmiechu, słowa, czynu lub drgnienia duszy? Kiedyż na pierwszym planie lustra ujrzymy zamiast pięknych nagich ciał kobiecych, wielką i głęboką miłość dwu istot, które dowiedziały się, że rozkosze cielesne tylko wtedy tracą swój niezadowalający i gorzki posmak, kiedy uczucia i myśli

oraz to wszystko, co przewyższa w dobroci i tajemniczości myśli i uczucia, z każdym dniem łączą się coraz to ściślej. Kiedyż zamiast sztucznej ekstazy, sprowadzonej za pomocą zbyt gorącego i ciężkiego pożywienia oraz podniecających środków — będących tylko najniebezpieczniejszymi szpiegami wroga, którego staramy się zwyciężyć — kiedyż zamiast nich znajdziemy poważne i silne oczyszczenie ducha, będącego ciągle w natchnieniu, bo starającego się ciągle pojmwować i kochać?... To rzeczy zdawna już znane i zbyt czestnem jest je powtarzać. A jednak wystarczy dwa albo trzy razy zabawić w kole tych, którzy tworzą najszlachetniejsze kwiecie ludzkości i zarówno są ludzcy w myślach, jak i w uczuciach, aby poznać o ile jeszcze macają tylko w ciemności, gdy chodzi o znalezienie najszcześniejszych momentów istnienia, jak bardzo podobne jest wciąż jeszcze, oczekiwane przez nich, nieświadome szczęście do człowieka bez życia duchowego i jak trudno im przeniknąć warstwę chmur pomiędzy dążącemi w górę i opadającemi istotami. Powie się, że nie nadeszła jeszcze godzina, kiedy człowiek zdoła rozpoznać, co się należy ciału, a co duchowi. Ale kiedyż ona ma nadejść, skoro ci, dla których dawno już musiała wybić, pozwalają w wyborze szczęścia kierować sobą nierozważnie ciemnym przesądom masy?

Wszystko, co wymyślimy sobie w wielkiej mierze, spełnia się ostatecznie w małej, a od rodzaju wyboru na górze zależy całkiem to, jak wybierzemy na dolinie.



To, co nazywamy cnotami i występkami, to

są te same siły, które działają przez całe życie; zmieniają tylko nazwę stosownie do miejsca, jakie zajmują. Po lewej stronie zapadają w niziny brzydoty, samolubstwa i głupoty, po prawej wznoszą się ku wyżynom szlachetności, wspaniałomyślności i mądrości, są dobre lub złe, w miarę tego, co czynią lub jak się je nazywa.

Istnieje moralność dla ludzi na brzegach wielkich rzek i moralność dla ludzi, płynących przeciw prądowi. Jest moralność snu i czynu, moralność cienia i światła, a cnoty pierwszej moralności, które możnaby nazwać cnotami pustemi, muszą się wznieść, rozszerzyć, aby się stały cnotami pełnemi i należały do drugiej. Materiał i linje zostaną może te same, ale wartości są w najwyższym stopniu przeciwne. Cierpliwość, łagodność, poddanie się, ufność, wyrzeczenie się, oddanie i poświęcenie, to wszystko owoce cnoty nieczynnej i skoro tylko wyniesie się je na chropawę życia, nie są niczem innym, jak słabością, uległością, beztroskliwością, nieświadomością, lenistwem, zaniedbaniem samego siebie, głupotą albo tchórzostwem. Aby źródło, z którego wytryskają, utrzymać na koniecznej wyżynie, muszą być zdolne przemienić się w energję, stałość, wytrwałość, mądrość, odporność, niechęć i oburzenie. Rzetelność, nie mająca się czego obawiać, dopóki nie ruszyła się z miejsca, musi uważać, żeby się nie bawiono jej kosztem i żeby nie wciskała wrogom swoim broni do ręki; czystość, która czekała z zamkniętymi oczyma i ze złożonemi rękoma, ma prawo przemienić się w namiętność, oraz rozstrzygnąć i przypieczętować swoją dolę. I w ten sposób idą dalek wszystkie

cnoty, mające nazwy, jakoteż i nie nazwane. Stosownie do tego należy zapytać, która z nich zasługuje na pierwszeństwo? Czy cnota czynnego, czy biernego życia, ta, która wyrusza między ludzi i przeciwko zdarzeniom, czy ta, która od nich ucieka? Czy istnieje moral, który nakazywałby jedną lub drugą, albo czy każdy ma prawo wyboru wedle swojego smaku, charakteru i zdolności? Czy cnoty czynne są lepsze, czy też gorsze i czy nieczynnym należy się pierwszeństwo? Można, zdaje mi się, powiedzieć, że pierwsze wynikają z drugich, lecz nie odwrotnie.

W jakim świecie marzeń istnieje cnota zaszczipiona na występku? Cnota nie jest niczem innym jak występkiem, który wyrasta w górę zamiast pochylać i każda zaleta jest tylko występkiem, umiejącym się zrobić pożytecznym.



Nietylko w niebie i na ziemi, lecz przede wszystkim w nas samych jest więcej rzeczy, aniżeli się przyśnić może szkolnej mądrości i skoro nas nikt nie zmusza do wtłaczania w formuły tajemniczych drgnień naszych, jesteśmy głębsi od wszystkiego, co kiedykolwiek napisano i więksi od wszystkiego, co istnieje.

Ilekróć coś wymawiamy, pozbawiamy coś dziwnej wartości. Zdaje nam się, że zstąpiliśmy w głąb otchłani, a gdy wyjdziemy znowu na powierzchnię, kropla na końcu naszego palca nie będzie znaczyła więcej od morza, z którego pochodzi. Zdaje nam się, że odkryliśmy kopalnię przedziwnych skarbów, a kiedy wynurzymy się znów na światło dzienne, przynosimy ze sobą tylko fał-

szywe kamienie i szklane skorupy. Jest coś nieprzeniknionego pomiędzy nami a naszą duszą, w pewnych zaś chwilach, powiada Emerson, „dochodzimy do gorącego pożądania cierpień, w nadziei, że tam nareszcie znajdziemy rzeczywistość i że poczujemy tam ostre jej rogi i kanty“.

Wszystko, co się da powiedzieć, jest niczem samo dla siebie. Połóżmy na jedną szalę wszystkie słowa wielkich mędrców, a na drugiej nieświadomą mądrość przechodzącego obok dziecka, a zobaczymy, że odślonienia Platona, Marka Aureljusza, Schopenhauera i Pascala, nie przeważą wielkich skarbów nieświadomego ani o jedną piędź, albowiem milczące dziecko jest po tysiąckroć mędrsze od mówiącego Marka Aureljusza. A jednak gdyby Marek Aureljusz nie był napisał swoich dwunastu ksiąg rozpatrywań, część nieznanych skarbów, kryjących się w naszym dziecku, nie byłaby tą samą. Niepodobna może mówić jasno o tych rzeczach, kto jednak potrafi sobie głęboko zapytać i chociażby na moment błyskawiczny żyć odpowiednio do swej wyższej istoty, odczuje, że tak jest. Może odkryje się któregoś dnia z jakiego to przewodu, gdyby Platon, Swedenborg albo Plotyn nie żyli, dusza chłopca, który ich nie czytał, ani też o nich słyszał, nie byłaby tem, czem jest dzisiaj niechybnie. Jakkolwiekby jednak jest, żadna myśl jeszcze nigdy nie przepadła dla duszy; a kto mógłby powiedzieć, które to części w nas żyją tylko mocą myśli, nigdy jeszcze nie pomyślanych? Świadomość nasza ma więcej, niż jeden stopień, a najmędrsi nawet troszczą się tylko o naszą prawie nieświadomą świadomość, ponieważ ona zamierza stać się boską. Pomnażanie tej transcenden-

talnej świadomości było zawsze jak widać, nieznanem, ale najwyższem życzeniem człowieka. Nie wiele na tem zależy, że tego nie wiedzieli, ponieważ nic nie wiedzą, a postępują w duszy tak mądrze, jak najmędrsi.



Ludzkość jest jedyną i we wszystkich swoich częściach jednakową istotą. Może się to wydać dziwacznem, żeby opadanie myśli u mas, których myślenie nie jest prawie myśleniem, miało w jakiś sposób wpływać na charakter, moralność, przyzwyczajenia w pracy, poczucie obowiązku, niezależność i siłę duchową astronoma, chemika, poety lub filozofa. A mimo to ma ono wpływ, jak się zdaje i to decydujący. Żadna myśl nie rozpląmienia się na szczytach, zanim niezliczone jednostajne idee równin nie osiągną pewnej wysokości. Na dole nie myśli się mocno, ale myśli się dużo, a ta odrobina, jaką się pomyśli, nabiera, żeby tak rzec, wpływu atmosferycznego. Atmosfera ta jest dla tych, którzy ośmielają piąć się na skalne wysoki, krawędzie przepaści i wyżyny lodowców, zgubna albo zbawienna, w miarę tego, jak jest ciężarna wielkodusznymi myślami lub pospolitemi życzeniami nawykniętymi. Każdy czyn heroiczny jakiegoś narodu, jak n. p. reformacja, francuska rewolucja, wszystkie wojny o niepodległość i wolność, mordowanie tyranów i t. p. czyści i zapładniają na dłużej, niż na stulecie. Ale nie potrzeba aż takich wielkich rzeczy, ażeby wesprzeć pracujących nad spełnieniem się naszej woli. Wystarczy, jeśli obyczaje ich otoczenia staną się trochę szlachetniejszymi, nadzieje mniej samolubnymi



a troski, namiętności, radości i miłości opromienia się blaskiem uroku, beztroskliwości i niematerialnego żaru. Wówczas mogą wolniej oddychać, wtedy poczują, że są wsparte, wtenczas nie będą już miały do walczenia ze swem instynktownem „ja“, wtedy wzmożą się ich siły i skupią się w jednym celu. Chłop, który w niedzielę kładzie się pod swoją jabłonią i czyta, zamiast się w karczmie zapijać, drobny mieszczanin, który gwar toru wyścigowego poświęca szlachetnemu widowisku lub nawet cichemu popołudniu, robotnik, który zamiast napełniać ulicę ordynarnemi śpiewkami i głupowatym wyciem, wychodzi w pole lub z wałów miejskich przypatruje się zachodowi słońca, ci wszyscy dokładają po bezimiennem i nieświadomem, lecz nie małym ważnym polanie do wielkiego ogniska ludzkości.



W gruncie rzeczy żyjemy tylko, jako dusza z duszą i jesteśmy bogami, którzy się wzajemnie nie znają. Jeśli mi dziś wieczór trudno znieść mą samotność i wchodzę pomiędzy ludzi, powiedzą mi, że burza właśnie gruszki potrząsała, albo że port zamarzył z powodu ostatnich mrozów. Czyż ja na to przyszedłem? A jednak pójdę potem do domu, a dusza moja będzie taka zadowolona i obfita w nowe skarby i siły, jak gdybym te godziny spędził z Sokratesem, Platonem i Markiem Aureljuszem Tego, co powiedziały ich usta, nie dosłyszałem poprzez to, co zwiastowała ich obecność; gdyż człowiek nie potrafi nie być wielkim i godnym podziwu. To, co myśl snuje, nie ma znaczenia wobec tego, czem jesteśmy i co się milcząco

potwierdza; a gdyby po pięćdziesięciu latach samotności wylądowali na mojej wyspie Epiktet, Goethe i Paweł, nie mogliby mi nic powiedzieć ponadto, co powiedziałyby mi równocześnie mały chłopak okrętowy z ich łodzi.

Nie należy jednak sądzić, że słowa służą do rzeczywistego porozumiewania się dwu istot. Wargi lub język mogą tylko tak duszę przedstawić, jak n. p. liczba w katalogu przedstawia obraz Memlinga; ilekroć jednak mamy sobie istotnie coś do powiedzenia musimy milczeć. Jeżeli w takich momentach sprzeciwiamy się niewidzialnym a koniecznym przykazaniom milczenia, ponosimy wieczną stratę, jakiej największe skarby ludzkiej mądrości nie zdołają nam wynagrodzić, gdyż zaniedbaliśmy sposobność podstuchania drugiej duszy i darowania chwili życia naszej duszy. Są zaś istnienia, w których taka sposobność nie nadarzy się po raz wtóry. Mówimy tylko w chwilach, kiedy nie żyjemy, kiedy nie chcemy zauważyć naszych braci i kiedy czujemy się dalecy od rzeczywistości. Ilekroć tylko mówimy, powiada coś w naszym wnętrzu, że gdzieś zamykają się jakieś drzwi boskie. To też skąpimy tak bardzo z milczeniem i nawet najnierozważniejsi wśród nas nie milczą wobec pierwszego lepszego. Instykt nadludzkich prawd, który wszyscy posiadamy, powiada nam, że niebezpiecznie jest milczeć z kimś, kogo się nie pragnie poznać, lub kogo się nie kocha. Albowiem słowa przechodzą pomiędzy ludzi, skoro tylko jednak milczenie miało czas zaznaczyć swoje działanie, wówczas nie da się ono zatrzeć, a prawdziwe

życie, jedyne, które jakiś ślad po sobie zostawia, składa się tylko z milczenia.

Poruszam tutaj tylko czynne milczenie, ponieważ jest i nieczynne. będące tylko odbiciem snu, śmierci albo niebytu. Jest to milczenie śpiące, które dopóki drzemie, mniej jest niebezpieczne od słowa; ale niespodziewana okoliczność może je zbudzić, a wówczas wstępuje na tron siostrzane milczenie czynne. Miejcie się na baczności! Dwie dusze siebie dosięgną, mury się rozejdą, wały runą, a zwykłe życie ustąpi miejsca życiu, w którym się wszystko staje tragicznem, wszystko bezsilnem, gdzie już nic się nie śmieje, nic się nie słucha, gdzie nie zapomina się już niczego.

Ponieważ znamy tę ponurą potęgę i jej gry niebezpieczne, mamy taką głęboką obawę przed milczeniem. W potrzebie zniesiemy jeszcze samotne milczenie, nasze własne milczenie, lecz milczenie większej liczby ludzi, pomnożone milczenie a szczególnie milczenie tłumu jest dla nas nadludzkim ciężarem, którego to ciężaru boją się najsilniejsze nawet dusze. Zużywamy znaczną część naszego życia na wyszukiwanie miejsc, gdzie nie panuje milczenie. Skoro tylko spotka się dwu lub trzech ludzi, myślą zaraz nad wypędzeniem niewidzialnego wroga: ileż bowiem przyjaźni opiera się wyłącznie na odrazie do milczenia! A ilekroć uda mu się mimo wszelkie wysiłki zakraść pomiędzy zgromadzone istoty, tylekroć zwrócą te istoty niespokojnie swe głowy ku owej uroczystej stronie rzeczy, której się zwykle nie widzi. Wtenczas rozejdą się niebawem i ustąpią pola niewiadomemu, a w przyszłości będą się nawzajem omijać, ponieważ się boją, że stuletnia wojna znowu będzie da-

remną i że ktoś z nich należy może do tych, którzy przeciwnikowi tajemnie drzwi otwierają.

Większość z nas rozumie i dopuszcza milczenie tylko dwa lub trzy razy w życiu. Wszyscy ośmielają się tego niezbadanego gościa przyjmować tylko wśród uroczystych okoliczności, lecz wszyscy prawie godnie go wtedy przyjmują, albowiem i najnędrniejsi mają w życiu chwile, kiedy to postępują, jak gdyby wiedzieli to, co wiedzą bogowie. Czy przypominacie sobie ów dzień, w którym bez zgrozy stanęliście w obliczu pierwszego milczenia? Wybiła ta okropna godzina i stanęło przed waszą duszą. Widzieliście, jak przestąpiło otchłanie życia, o których się nie mówi i głębie morza wewnętrznego piękna i lęku, a nie umknęliście... Było to podczas powrotu do domu, na progu rozstania, pośród wielkiej radości, nad łóżem śmierci lub na krawędzi nieszczęścia. Przypomnijcie sobie owe błogie minuty, w których nagle odsłonią się wszystkie ukryte szlachetne kamienie i przebudzą się prawdy drzemiące; powiedzcie mi też, czy milczenie nie było w owej godzinie czemś dobrem i koniecznym; czy pieszczoty tego wiecznie prześladowanego wroga nie były pieszczotami boskimi? Pocałunku milczenia w nieszczęściu — gdyż przedewszystkiem całuje nas milczenie w nieszczęściu — niepodobna już nigdy zapomnieć: dlatego też ci, którzy częściej go otrzymywali, więcej wartają od innych. Oni jedynie wiedzą może, na jakich niemych i głębokich wodach spoczywa cienka skorupa codziennego życia; zbliżyli się oni do Boga, a kroki, które powiodły ich ku światłu, nie będą nigdy

stracone. Dusza bowiem jest czemś, co się może wznieść nie potrafi, ale nigdy nie zdoła się zniżyć.

Nie zna się właściwości milczenia powstającego. O ile wszystkie słowa są do siebie podobne, o tyle odmiennem jest jedno milczenie od drugiego, a od tej właściwości milczenia zależy po większej części szczęście między dwiema duszami. Gdzieś — niewiadomo gdzie — powstają te mieszczaniny, gdyż naczynia milczenia stoją wysoko nad naczyniami myśli, a nieprzewidziany napój robi się albo nieszczęśliwie gorzki, albo nieskończenie słodki. Dwie przedziwne dusze jednakiej siły mogą zrodzić takie wrogie milczenie i będą się w ciemności zwalczały, gdy tymczasem dusza galernika stapia się w boskim milczeniu z duszą dziewicy. Niczego nie wie się naprzód i wszystko dzieje się w niebie, które nie obwieszcza niczego; dlatego to najserdeczniej kochający odsuwają aż na ostatnie godziny wniśćcie wielkiej objawicielki głębin duszy...

Wiedzą oni bowiem — ponieważ prawdziwa miłość najlekko myślących nawet sprowadza do środkowego punktu życia, że wszystko inne było tylko dziecinną igraszką pod murami ogrodzenia i że teraz mury padają, a życie staje otworem. Milczenie ich będzie tyle warte, ile warci bogowie, jakich noszą w swem łonie, a jeśli nie zrozumieją się w tem pierwszym milczeniu, to dusze ich nigdy się nie pokochają; milczenie się bowiem nie zmienia. Może wznosić się lub opadać pomiędzy dwoma duszami, ale natura jego nigdy nie zmieni się; aż do śmierci kochających się zachowa ono formę i moc, jaką miało wchodząc do pokoju poraz pierwszy.

„Siostry, rzekła dziewczynka z bajki, każda z was ma swoją myśl tajemną, a ja chcę ją poznać“. W nas też jest coś, o czym chciałoby się wiedzieć, lecz kryje się to daleko poza naszymi najskrytszymi myślami: to jest nasze tajemne milczenie. Lecz pytanie tutaj jest zbyt cenne. Każdy wysiłek zaczajonego na siebie ducha, przeszkadza nawet drugiemu życiu, żyjącemu w tej tajemnicy. Aby wiedzieć, co jest istotnie, należy między sobą zachowywać milczenie, albowiem tylko w niem rozchylają się na chwilę niespodziane, wieczne kwiaty, których kształt i barwa zmienia się odpowiednio do duszy, obok której się człowiek znajduje. Dusze można odważać w milczeniu, jak złoto i srebro w czystej wodzie, słowa zaś, które wypowiadamy, otrzymują znaczenie tylko skąpane w milczeniu. Kiedy człowiekowi powiadam, że go miłuję, nie zrozumie może tego, co powiedziałem stu innym ale milczenie następujące potem, jeśli rzeczywiście go kocham, okaże, jak głęboko zapuściło korzenie to słowo i wytworzy w nim także pewność milcząca; to milczenie i ta pewność nie powtórzą się w jednym życiu tak samo...

Czyż milczenie nie określa woni miłości i czy nie zatrzymuje jej w miejscu? Gdyby miłość obrano z milczenia, nie miałaby wieczystego smaku i woni. Któż z nas nie zna owych niemych mgieł oka, kiedy to rozłączają się usta, a dusze jednoczą? Należałoby je ciągle na nowo odkrywać. Niema wymowniejszego milczenia nad milczenie miłości; jest ono rzeczywiście jedyną rzeczą, która do nas należy. Milczenie śmierci, bólu i lasu nie do nas należy. Zbliża się do nas z głębi zdarzeń, o pewnym oznaczonym przez nie czasie,

a kogo nie dotknie, ten nie ma sobie nic do zarzucenia. Możemy jednak wychodzić, aby spotkać milezenie miłości. Dzień i noc czeka ono na progu naszego domu i jest tak piękne, jak jego rodzeństwo. Dzięki jemu mogą ci, którzy prawie nigdy nie płakali, żyć z duszami tak samo poufnie, jak ludzie bardzo nieszczęśliwi. I dlatego to wiedzą ci, którzy wiele kochali, o tajemnicach, jakich inni nie znają. W tem bowiem, co usta zamilczają przed głęboką i prawdziwą przyjaźnią i miłością, leżą tysiące i tysiące rzeczy, które nigdy nie zabłąkają się na inne wargi.



Nadchodzi czasem chwila, kiedy to zjawisko zwykłej świadomości, którą możnaby nazwać świadomością namiętności lub świadomością pierwszego stopnia, nie przydają nam się na nic i nie dotyczą naszego życia. Przyznaję, że ta świadomość jest często w pewnym kierunku pociągająca i że należy znać swe nawyknięcia. Jest to jednak roślina powierzchni, a korzenie jej boją się wielkiego ognia w rdzeniu naszej istoty. Mogę popełnić zbrodnię, a najłżejsze tchnienie nie zachwieje najmniejszym płomykiem tego ognia. Z drugiej strony wymiana jednego spojrzenia, jedna myśl niedoszła do rozkwitu, jedna minuta, upływająca bezgłośnie, może go na dnie ukrycia wzburzyć w straszliwe wiry i zalać nim moje życie. Dusza nasza nigdy nie sądzi tak, jak my; to rzecz uparta i skryta. Może ją tchnienie poruszyć, a o burzy może nie wiedzieć. Musi się szukać tego, co ją poruszy; tam jest wszystko, gdyż tam jesteśmy my sami.

Czy to zuchwalstwo twierdzić, że prawdziwa, właściwa, głęboka i ogólna tragedia życia dopiero tam się zaczyna, gdzie minęły już tak zwane przygody, cierpienia i niebezpieczeństwa? Czyżby szczęście nie miało dłuższej ręki od nieszczęścia, czyżby niektóre z sił jego nie zbliżyły się bardziej do ludzkiej duszy? Czy należy bezwarunkowo krzyżeć, jak Atrydzi, ażeby wieczny Bóg ukazał się naszemu życiu, czy nie zniży się do nas przy cichej lampie? Czy to nie spokój właśnie jest czemś straszliwym — jeśli się nad tem namyślić — kiedy gwiazdy nad nim czuwają i czy sens życia odsłania się we wzburzeniu czy w ciszy? Czy wielki niepokój nie powinien zaczynać się dopiero na końcu owych historyj, wktórych mówi się: „A oni byli szczęśliwi!“ Co się dzieje, gdy są szczęśliwi? Czy szczęście lub prosta chwila spokoju nie odsłania nam rzeczy poważniejszych i trwalszych, aniżeli wzburzenie namiętności? Czy wtedy właśnie nie widać lepiej kroków czasu i wielu innych bardziej tajemniczych kroków i czy szybciej nie upływają godziny? Czy to wszystko nie dotyka strun o wiele głębszych, aniżeli pchnięcie sztyletu w zwyczajnym dramacie? A czyż wtedy, kiedy człowiek czuje się bezpiecznym przed śmiercią fizyczną, nie otwiera dopiero naprawdę bram swojej sceny dziwna i milcząca tragedia bytu i bezmiaru? Czy życie moje tylko wtenczas osiąga szczyt swego zadania, kiedy uciekam przed obnażonym mieczem? A czy zawsze tylko w pocałunku jest wysokiem i wzniosłem? Czyż niema innych chwil, w których słyszałoby się głosy trwalsze i czystsze? Czy nasza dusza rozkwita tylko w burzliwych nocach? Można by powiedzieć, że w to dotychczas wierono.



Wszyscy prawie nasi tragedjopisarze mają na oku tylko gwałtowne i minione życie, to też można powiedzieć, że teatry nasze są anachroniczne a dramatopisarstwo zostało o wiele lat w tyle tak samo, jak rzeźba. Co innego np. z malarstwem i z muzyką, które zdołały poznać, rozwikłać i przedstawić bardziej ukryte, a nie mniej pełne znaczenia i zdumiewające rysy obecnego życia. Zauważyli, że to życie zyskało na głębi, na duchowej ciężkości i wewnętrznym znaczeniu, co utraciło na ozdobnej powierzchni. Dobry malarz nie maluje już zamordowania księcia de Guise, zwycięstwa Marjusza nad Cymbrami, gdy psychologja zwycięstwa i mordu jest czemś żywiołowem i wyjątkowem, a niepotrzebny zgiełk gwałtownego wypadku tłummi głębszy, lecz wahający się głos rzeczy i istot. Przedstawi dom ginący w krajobrazie, otwarte drzwi na końcu korytarza, twarz lub ręce w zupełnym spokoju. Te proste obrazy potrafią naszą świadomość życiową powiększyć o coś, co jest dobrem, nigdy nie do utracenia.

Nie wystarcza nam ruch wielkiej duszy tam i sam w przestrzeni i czasie. Nie wiele sama dokona, jeśli się jej nie wesprze. Jest ona kwiatem wielu. Musi się zjawić w chwili, kiedy przewala się całe morze dusz, a jeśli przyszła podczas snu, będzie mogła mówić tylko o samych marzeniach. Hamlet — aby wybrać wybitny przykład — podchodzi w Elsinorze co chwila aż nad samą krawędź przebudzenia, a jednak nie dochodzi mimo potu zimnego, występującego na czoło, do tego, żeby wymówił słowa, które ma na ustach. Tymczasem dzisiaj mógłby je wymówić bez wątpienia, gdyż do wymówienia ich dopomogłyby mu dusza prze-

chodzącego włóczęgi a nawet złodzieja. Patrząc na Klaudjusza i matkę swoją, poznałby teraz, czego przedtem nie wiedział, ponieważ dusze nie okrywają się już widocznie taką ilością zasłon. Czy wiesz ty — a to prawda niepokojąca — czy wiesz, że gdy dobrym nie będziesz, jest więcej niż prawdopodobnem, iż obecność twoja zdradzi to dziś stokroć wyraźniej, aniżeli uczyniła to przed dwustu lub trzystu laty? Czy wiesz, że jeśli dzisiaj zasnujesz jedną jedyną duszę, to wiedzieć będzie o tem dusza chłopca, z którym rozmawiać chcesz o pogodzie, zanim ręka twoja drzwi zdoła otworzyć. Przybierz minę bohatera, świętego lub męczennika; oko spotkanego dziecka nie powita cię tem samym niewinnem spojrzeniem, jeśli kryjesz w sobie jaką złą myśl, niesprawiedliwość albo łzę brata. Przed stu laty przeszłaby może obok ciebie jego dusza, nie zwróciwszy na twoją uwagi...

Każdemu człowiekowi zdarza się w życiu codziennem, że ma jakieś trudne położenie rozwiązać słowami. Pomyślmy nad tem, co w takich chwilach zawsze — nawet w zwykłych razach — rozstrzyga o wyniku? Czy to, co mówimy lub to, co nam odpowiadają? Czy tu nie grają roli żadne inne siły, żadne inne słowa, których się nie słyszy, które jednak rozstrzygają o zdarzeniu? To co mówię, często znaczy nie wiele, obecność moja jednak, postawa mojej duszy, moja przyszłość i przeszłość, to, co ze mnie powstanie i co we mnie umarło, ukryta myśl, gwiazdy przychylnie, mój los, tysiące i tysiące misterjów, otaczających mnie i was; to wszystko mówi do was w chwilach tragicznych i to mnie odpowiada. Pod każdym ze słów moich i waszych leży to wszystko; to przedewszystkiem

widzimy, to nas przede wszystkim dochodzi, nawet na złość nam samym. Jeśli „obrażony małżonku“, „oszukany przyjacielu“, „opuszczona żono“ przyszlście, aby mnie zabić, to ręki waszej nie powstrzyma moje błaganie. Ale może zetknie się które z was z jedną z owych niespodzianych potęg, a dusza moja, wiedząc, że one dokoła niej czuwają, powie ci słowo, które ciebie rozbroi.

Gdyby się kierowało w życiu tylko jasnymi wyobrażeniami, zostałoby się niebawem człowiekiem, zasługującym na mało miłości i mało poważania. W gruncie rzeczy nic nie jest mniej jasnym od powodów, zapomocą których namawiamy siebie do tego, żeby być dobrymi, sprawiedliwymi, wspaniałomyślnymi i żebyśmy we wszystkim zachowywali najszlachetniejsze myśli i uczucia, jakie tylko osiąść możemy. Szczęściem uczy się człowiek tem więcej cenić wyobrażenia niejasne, im więcej jasnych posiada. — Należy starać się o jaknajwiększą ilość jasnych wyobrażeń, ażeby wzbudzić jak najwięcej ciemnych jeszcze w duszy. Zdaje się, że czasem jasne wyobrażenia kierują naszym życiem zewnętrznem, nie podobna jednak zaprzeczyć, że tamte stoją na czele życia wewnętrznego, a widzialne życie słucha ostatecznie zawsze niewidzialnego. Od ilości dobroci i potęgi jasnych wyobrażeń zależy to wszystko w ciemnych i prawdopodobnie większość prawd ostatecznych, których tak namiętnie szukamy, czeka na swą godzinę wśród pełni wyobrażeń ciemnych. To ważne, żeby skrócić czas ich czekania; piękne, jasne wyobrażenie, jakie w sobie wzbudzamy, nie ominie ze swej strony sposobności wzbudzenia wyobrażenia ciemnego, a kiedy ciemne wyobrażenie postarzeje

się i rozjaśni — gdyż zupełna jasność, jest prze-  
ważnie tylko oznaką późnego wieku wyobrażeń —  
to zbudzi również ze snu inne ciemne wyobrażenie,  
piękniejsze i wyższe, aniżeli samo było w swym  
cieniu. Może toż jedno z nich, dotykając tak krok  
za krokiem bez zniechęcenia szeregów drzemią-  
cych, położy niechcąc, swą małą niewidzialną rę-  
kę na ramieniu jakiej wielkiej prawdy.



Świadomość nieświadomego, w którym żyje-  
my, nadaje życiu naszemu wielkość i znaczenie,  
jakiego nie miałoby nigdy, gdybyśmy się wyczer-  
pywali w tem, co znamy, lub gdybyśmy, nie przyj-  
rzawszy się, sądzili, że to, co wiemy, jest o wiele  
ważniejszym od tego — czego nie wiemy.

Aby być wielkim, głębokim i wzniosłym nie  
wystarcza jeszcze myśleć ustawicznie o niepozna-  
walnem i nieskończonem. Myśl o tem tylko wtedy  
naprawdę przynosi pożytek, jeśli jest nieoczeki-  
waną nagrodą ducha, oddanego bez zastrzeżeń i  
rzetelnie badaniu tego, co poznawalne i skończone.  
Niebawem też zauważa się, że różnica między my-  
sterjum przed naszą znajomością a misterjum  
po naszej niepewności jest wcale dostrzegalną.  
W pierwszym leży dużo zmartwienia, ponieważ  
tam panuje ciasnota, a cały smutek rozkłada się  
na dwu lub trzech pobliskich wzgórzach. W dru-  
giem jest prawdopodobnie mniej tego zmartwienia,  
ponieważ ma ono wielkie rozmiary a na dalekich  
horyzontach przybierają nawet największe utra-  
pienia postać nadziei.

Rozsądek, jako najstarszy syn rozumu, musi  
usiąść na progę naszego życia obyczajowego po

otwarciu podziemnych drzwi, za którymi drzemią, jako więźniowie, żywe popędowe siły naszej istoty. Czuwa on tam ze swą lampą w rękę, a sama jego obecność broni wstępu przez ten próg wszystkiemu, co nie odpowiada jeszcze naturze światła. Dalej przedtem, w dziedzinie, do której nie docierają promienie, trwa w dalszym ciągu ciemne życie. Nie niepokoje się tem, przeciwnie, on się tem cieszy. Wszak wie, że w oczach Boga, którego pragnie, wszystko co nie przeszło przez oświetloną salę, czy byłby to sen, co myśl lub też czyn, nie może nic dodać do idealnej istoty, która go tworzy. Obowiązkiem jego płomienia jest promieniowanie tak daleko i jasno, jak może i nie opuszczanie swego stanowiska. Nie ociąga się, dopóki chodzi o ruch niższych instynktów i mroków. Zdarza się jednak, że pośród więźniów zajaśnieją świetlistsze siły od niego samego i do drzwi się przybliżą. Rzucają one światło bardziej nie materialne, promienne i niepojęte od czystego i stałego płomienia strzeżonego ręką rozsądku. To niewytlómaczone potęgi miłości, dobra oraz inne jeszcze bardziej tajemnicze, nieskończone żądają wypuszczenia. Co robić? Jeśli siedzi na progu, nie zdobywszy jeszcze prawa do tego, bo nie miał się odwagi nauczyć, że nie jest sam jeden na świecie, zaczyna się niepokoić i bramy zamyka. A jeśli kiedy zdoła to wymóc na sobie, że ją znowu otworzy, znajdzie tylko garstkę popiołu przed ciemnymi stopniami. Jeśli jednak nie zadrży w poczuciu swej siły, ponieważ to wszystko, czego nie mógł się jeszcze nauczyć, nauczyło go przynajmniej tyle, że żadne światło nie jest niebezpieczne, że w życiu rozsądku można nawet sam rozsądek oddać za większą jasność, wówczas na-

stąpi niewypowiedziana wymiana od lampy do lampy. Krople nieznanego oleju zmieszają się z olejem ludzkiej mądrości, a kiedy przejdą świetlani obcy, zmieni się płomień ich lampy na wieki i buchnie wyżej, potężniej i jaśniej pomiędzy kolumnami powiększonej komnaty.

### **Życie głębokie.**

Warto ludziom przypominać, że nawet najmniejszy z nich „ma zdolność wyrzeźbienia na wzór boga, którego sam sobie nie wybrał, wielkiej moralnej osobistości, złożonej w równych częściach z siebie samego i ze swego ideału, że to właśnie jest czemś żyjącem pełną rzeczywistością“.

Każdy musi sobie znaleźć osobną możność wyższego życia w skromnej rzeczywistości życia codziennego. Życie nie ma szlachetniejszego celu. Różnią nas od siebie tylko stosunki z nieskończonością. Bohater jest tylko dzięki temu większym od nędznika, kroczącego u jego boku, że w pewnym czasie swojego istnienia miał wyższą świadomość jednego z tych stosunków. Jeśli to prawda, że stworzenie nie zatrzymało się na człowieku i że otaczają nas niewidzialne wyższe istoty, to przewyższają one nas tylko dlatego, że mają stosunki z nieskończonością, jakich nawet przeczuć nie możemy.

Posiadamy zdolność pomnażania tych stosunków. W życiu każdego człowieka jest dzień, w którym niebo się samo otwiera i od tej chwili liczy się przeważnie istnienie jego prawdziwej duchowej osobistości. W tej chwili tworzy się bezwątpienia wieczne, niewidzialne oblicze, które mimowoli okazujemy aniołom i duszom. Jednakowoż dla

większości ludzi otwiera się w ten sposób niebo tylko przypadkowo. Nie wybrali oblicza, po którym poznają ich aniołowie w nieskończoności; nie umieją też tych rysów uszlachetniać ani oczyszczać. Rodzą się tylko przez przypadek radości, zmartwienia, strachu albo myśli.

W istocie jednak rodzimy się w dniu, kiedy po raz pierwszy odczuwamy głęboko, że w życiu jest coś poważnego i niespodzianego. Jedni poznają nagle, że nie tylko sami są pod sklepieniem niebios, drudzy zauważają nagle podczas pocałunku przez nich złożonego, lub łzy przez nich wylane, że „źródło wszystkiego, co najlepsze i święte, leży poza nocą, pełną gwiazd zbyt dalekich“. Trzeci widzi rękę bożą, wsuwającą się pomiędzy jego radość a nieszczęście, czwarty zaś pojął, że zmarli mają słusność. Jeden miał litość, drugi obawę, a trzeci wreszcie podziwiał. Po większej części nie potrzeba niczego prawie, jednego słowa gestu, jakiejś drobnostki, nie będącej nawet myślą. „Niegdyś kochałem cię jak brata“, mówił pewien bohater Szekspira o podziwianym przez siebie czynie, „teraz jednak czczę cię, jak moją duszę“. Prawdopodobnie przyszła dnia tego na świat jakaś istota.

Możemy w ten sposób rodzić się więcej razy i przy każdych takich narodzinach zbliżamy się trochę do naszego Boga. Prawie wszyscy jednak zadowalamy się czekaniem, dopóki zdarzenie, pełne nieodpartej jasności, nie wtargnie przemocą w naszą ciemność i nie rozjaśni jej w nas wbrew woli. Czekamy, na niewiem, jaki szczęśliwy traf, kiedy duszy naszej otworzą się oczy, kiedy nas spotka coś nadzwyczajnego. Lecz wogóle wszyst-

ko, co się dzieje, jest światłem, a najwięksi z ludzi byli tylko dlatego wielkimi, że z przyzwyczajenia otwierali oczy do każdego światła. Czyż musi dopiero matka twoja wyzionać ci ducha na rękach, dziecko zginąć podczas rozbicia okrętu, albo ty sam ujść śmierci, zanim się ostatecznie nauczysz tego, że żyjesz w niepojętym świecie, w którym znajdujesz się raz na zawsze, a w którym Bóg niewidzialny żyje wiecznie sam ze swojemi stworzeniami? Czyż musi dopiero narzeczona zginąć ci podczas pożaru, lub utonąć ci w oczach w zielonych głębiach morza, ażebyś poznał na chwilę, że ostatnie szranki zakresu miłości wychodzą może daleko poza niewidzialne prawie żary Miry, Altairu lub Warkocza Bereniki?“ Gdybyś był miał oczy otwarte, byłbyś w pocałunku zauważył to, czego teraz musi cię katastrofa nauczyć. Czyż dopiero ból ma pchnięciami włóczni budzić boskie wspomnienia, śpiące w naszej duszy? Mędrcom nie potrzeba tych wstrząśnień. On przypatruje się łzie, gestowi dziewicy albo kropli spadającej; przysłuchuje się przechodzącym myślom, ścisła dłoń przyjaciela albo zbliża się do ust z otwartymi oczyma i otwartą duszą. Może on bezustannie patrzeć na to, co ty jedynie chwilowo dostrzegasz i bez trudu uczy go uśmiech tego, co tobie musiała odsłonić burza i ręka śmierci.

Czem są bowiem w gruncie rzeczy tak zwana „mądrość“, „cnota“, „heroizm“, czem są wszelkie „wzniosłe godziny“ i „wielkie chwile“ życia, jeśli nie momentami, w których się mniej lub więcej wyszło z samego siebie, kiedy się choćby na minutę zdołało stanąć na progu odwiecznej bramy, kiedy się poznaje, że najmniejszy okrzyk, naj-



bledsza myśl, i najślabszy gest nie wpadają w nicłość, albo jeśli wpadają, to sam ten upadek jest tak ogromny, że wystarczy do nadania wzniesłego charakteru naszemu życiu? Czy czekacie, aż niebo się otworzy z trzaskiem piorunu? Należy czyhać na szczęśliwe minuty, kiedy się otwiera, a otwiera się nieustannie. Szukacie Boga w swem życiu i powiadacie, że Bóg wam się nie ukazuje. Ale któreż życie nie ma tysiąca godzin, podobnych do owego dramatu, kiedy to wszyscy oczekują boskiego dopustu, a nikt go nie zauważa, dopóki niewidzialna myśl, która odwróciła świadomość umierającego, nie objawi się nagle, albo starzec nie zaszlocha z radości i zdumienia: „Mój Boże, wszak to Ty jesteś! O Boże!

Czy musi się nas zawsze najpierw zawiadamiąć, czy tylko wtedy potrafimy upaść na kolana, kiedy jest ktoś, kto nam powie, że Bóg właśnie przechodzi? Ilekroć aż do gruntu kochałeś, nie musiał nikt zwracać dopiero na to twojej nwagi, że dusza twoja była tak samo wielka jak światy; że gwiazdy, kwiaty, fale nocy i morza nie były same, że nic końca nie miało, że wszystko zaczynało się na progu zjawisk i że nawet usta, które całowałeś, należały do istoty o wiele wyższej, piękniejszej i czystszej, aniżeli ta, którą obejmowały twoje ramiona. Wtedy widziałeś coś, czego nigdy nie widzi się bez upojenia w życiu. Ale nie można ciągle tak żyć, jak gdyby się kochało. Bohaterowie i święci nic nie robili innego. Ach, naprawdę! Czekamy w bycie trochę za długo, jak ślepi w bajce, którzy odbyli długą podróż, aby swego Boga usłyszeć. Usiedli na schodach, a gdy ktoś ich pytał, co robią na progu świątyni, odrzekli po-

trzęsając głową: „Czekamy a Bóg nie rzekł jeszcze ani słowa“. Nie widzieli jednak, że spiżowe wrota świątyni były zamknięte i nie wiedzieli, że głos ich Boga napelniał cały budynek. Nasz Bóg nie przestaje mówić ani na chwilę, lecz nikt nie myśli o otwarciu bramy. A jednak, gdyby tylko uważać, nie byłoby trudno usłyszeć w każdym wypadku słowo, które Bóg musi wymówić.

Wszyscy żyjemy w czemś wzniosłem. A w czem mielibyśmy żyć innem? Niema innej siedziby życia. Nie brak nam nigdy sposobności do życia w niebie; wystarczy uwaga, czułość i trochę upojenia duszy. Kiedy masz tylko małą izdebkę, zdaje ci się, że Boga tam niema i że nie możnaby tam wieść wyższego życia. Kiedy się skarżysz, że jesteś sam, że nic ciebie nie spotkało i że nikt cię nie kochał, ni ty nikogo, czy nie sądzisz, że słowa ludzi, że można być samotnym, że miłość jest czemś, o czem się wie, czemś, co się widzi, oraz, że zdarzenia się waży, jak złoto i srebro okupu? Czy myśl żywotna — wszystko jedno czy wzniosła czy uboga, jeśli tylko pochodzi z duszy, jest dla nas wielką, lub wysokie życzenie, albo prosta chwila uroczystego zważania na życie, nie może wcisnąć się do małego pokoju? A jeżeli nie kochasz ani nie jesteś kochanym, a jednak możesz z pewną siłą zobaczyć, że są tysiące rzeczy pięknych, że dusza jest wielka a życie prawie niewypowiedzianie poważne, czy to nie jest tak samo piękne, jak gdybyś kochał, lub jak gdyby ciebie kochano? A jeżeli nawet ukrywa się przed tobą niebo, „wielkie gwiazdziste niebo“, jak mówi poeta, „rozpina się ono pomimo wszystko nad twoją duszą w postaci śmierci“. Wszystko, co nas spotyka, jest bosko-

wielkie; jesteśmy zawsze w środkowym punkcie wielkiego świata. Należałoby jednak przyzwyczaić się do życia, jak anioł, który się właśnie urodził, jak kochająca kobieta, lub jak człowiek umierający. Jeślibyś wiedział, że umrzesz dzisiaj wieczorem, albo, że odejdziesz na zawsze, czy widziałbyś poraz ostatni rzeczy i istoty tak, jak je widziałeś po dzień dzisiejszy? I czy wówczas nie kochałbyś tak, jak jeszcze nigdy nie kochałeś? Czy dobroć, czy złość zjawisk wzrosłaby dokoła ciebie? Czy potrafiłbyś zauważyć piękność lub brzydotę dusz? Czy nie zmienia się wtedy wszystko, nie wyłączając nawet zła ani cierpień, w życiowe łyzy? Czy, jak mówi pewien mędrzec, każda sposobność przebaczenia nie odbiera rozstaniu i śmierci czegoś z ich goryczy? A jednak, czy w tem przeźroczu strapienia lub śmierci stawia się te ostatnie kroki, jakie wolno jeszcze postawić wedle prawdy czy błędu?

Czy to żyjący czy zmarli mają prawo wiedzieć i widzieć? Ach, zbawieni ci, którzy tak myśleli, mówili i czynili, że uzyskali zgodę umierających, lub ci, których wielki ból uczynił jasnowidzącymi. Niema słodszej nagrody dla mędrca, któremu nikt nie przysłuchiwał się życiu. Jeśli żyłeś w pięknie ukrytem, nie martw się bynajmniej! Na ostatku uderzy godzina sprawiedliwości w sercu każdego a nieszczęście otwiera i te oczy, które się nigdy nie otwierały. Kto wie, może w tej chwili przechodzisz obok duszy umierającego, jak cień kogoś, co znał już prawdę. Może na łóżach śmierci spleta się prawdziwy i cenny wieniec mędrców, bohaterów i wszystkich tych, którzy w wynio-

słych, czystych i milczących utrapieniach życia duszy, umieli żyć poważnie?

„Śmierć“, powiada Lavater, wypięknia nie-tylko kształt nieżyjący, lecz sama myśl o śmierci nadaje życiu formę piękniejszą“. Tak samo też upiększa życie nasze każda myśl tak nieskończona, jak śmierć. Ale nie należy się ludzi pod tym względem. Każdy ma szlachetne myśli, przeciągające przez nasze serca, jak wielkie białe ptaki. Lecz ach, o nie nie chodzi; to obcy, których spostrzega się ze zdumieniem i oddala się od siebie z miną uprzykrzenia. Nie mają one czasu dotknąć naszego życia. Ażeby dusza nasza stała się poważną i głęboką, jak dusza aniołów, na to nie dość zobaczyć świat przez chwilę w cieniu śmierci, albo wieczności, świetle radości, lub w płomieniach piękna i miłości. Każda istota miała chwile tego rodzaju a zostawiły w niej tylko garść niepotrzebnego popiołu. Należy się uczyć życia w nawyknięciu piękna i powagi. W życiu poznają i najniższe istoty te właśnie rzeczy piękne i szlachetne, które powinnyby się uczynić, ale te piękne i szlachetne rzeczy nie mają w nich jeszcze dość siły. Ta niewidzialna abstrakcyjna siła jest czemś, co musimy już naprzód starać się pomnażać. Mnoży się ona tylko w tych, którzy przyzwyczaili się usiadać częściej od drugich na szczytach, gdzie życie zdobywa duszę i skąd widać, że każda czynność i każda myśl przywiązana jest niechybnie do czegoś wielkiego i nieśmiertelnego. Należy się przypatrzeć ludziom i rzeczom wedle kształtu i życzenia wewnętrznego oka. Lecz niechaj nikt zapomina nigdy o tem, że cień, jaki przyciągając, rzucają na wzgórek lub mury, jest tylko zniko-

mym obrazem potężniejszego cienia, który rozpinają się jak skrzydła nie przemijającego łabędzia nad każdą duszą, zbliżającą się do ich duszy. Nie należy wierzyć, jakoby myśli tego rodzaju nie były niczem, jak tylko ozdobą. Przekształcenie życia jest o wiele mniej ważne od spostrzeżenia go, bo przekształcało się samo, skoro się je zobaczyło. Myśli, o których mówię, tworzą tajemny skarb bohaterstwa, a w dniu, kiedy życie zmusi nas do stworzenia tego skarbcza, będziemy zdumieni, nie znajdując tam innych sił prócz tych, które nagłą nas do zupełnego piękna. Nie potrzeba dopiero śmierci króla wielkiego do przypomnienia nam, że świat się nie kończy za drzwiami i że najmniejsza drobnostka wystarcza do tego, żeby duszę uszlachetniać co wieczór.

Ale nie dzięki temu będzie się żyło w pięknie i w płodnych głębinach, w których żyli bohaterowie, że powie się sobie, iż Bóg jest wielki i że poruszamy się w jego jasności. Być może, że myślisz o tem rano i wieczór, że dłonie wszystkich niewidzialnych potęg rozpinają się nad twoją głową, jak namiot z niezliczonymi fałdami, a ty nie spostrzeżesz najmniejszego ruchu tych dłoni. Musi się nieznużenie uważać, a lepiej czuwać na placu publicznym, niżli zasnąć w świątyni. Piękno i wielkość jest we wszystkim, dlatego wystarczy niespodziana okoliczność, ażeby nam ją ukazać. Większość wie o tem, ale ich wiedza daremna; tylko pod batami losu albo śmierci włóczą się dokoła ścian bytu i szukają szczelin do Boga. Wiedzą dobrze, że są wieczne szczeliny w ścianach ubogiej chaty, że nawet najmniejsze szybki nie zabierają z nieskończoności przestworów niebieskich jednej

kreski ani jednej gwiazdy. Ale nie dość posiadać prawdę; prawda nas musi posiadać.

A jednak żyjemy w świecie, gdzie najdrobniejsze zdarzenia, przybierają tak łatwo coraz to czystsze, coraz wyższe piękno. Nic nie łączy się łatwiej niż niebo z ziemią, a jeżeli popatrzyłeś na gwiazdy, zanim pocałowałeś ukochaną, nie pocałujesz jej już w ten sposób, w jaki uczyniłbyś to po przypatrzeniu się ścianom pokoju. Bądź pewien że w dniu, spędzonym na śledzeniu promienia światła przez szparę we wrotach życia, spełniłeś coś równie wielkiego, jak gdybyś był opatrzył rany przyjaciela; bowiem w tej chwili nie miałeś już nieprzyjaciół.

Trzeba żyć w zaczajeniu się na swego Boga, ponieważ Bóg się ukrywa, lecz podstępny jego wy-  
dają się uśmiechniętymi i naiwnymi, skoro się je raz poznało. Od tej chwili odsłania nam byle co jego obecność, a wielkość naszego życia trzyma się rzeczy tak drobnych! W ten sposób znajduje się u poetów tu i ówdzie wiersz, który pośród skromnych wydarzeń zdaje się otwierać nagle coś ogromnego. Nie wymówiono uroczystego słowa i chciałoby się powiedzieć, że nic nie wołano. A jednak skinęło na nas niezapomniane oblicze z poza łez starca, cała moc, pełna aniołów zalega uśmiech dziecięcia a nad „tak“ lub „nie“ duszy gwarzącej i śpiewającej podczas pracy nad czemś innym, powstrzymujemy oddech i powiadamy nagle do siebie: „Zaprawdę, to jest dom Boga i tu jest miejsce niebiosów“.

A to wszystko dzięki temu, że poeta więcej zważał na „ciemnie nieskończone“. W istocie nie jest też poezja niczem innym i „nie ma innego celu,

jak trzymanie otworem wielkich dróg, prowadzących ze świata widzialnego do niewidzialnego". Ale też to jest najwyższym celem życia i o wiele łatwiej dojść doń w życiu, aniżeli w najszlachetniejszych poezjach, ponieważ one musiały odłożyć na bok parę swoich skrzydeł milczenia. Niema dni małych. Ta myśl musi się pograć w nasze życie i przybrać tam kształt swój właściwy. Nie idzie o to, żeby być smutnym. Drobne uciechy, mały uśmiech, wielkie łzy, to wszystko zajmuje równe miejsce w przestrzeni i w czasie. Możesz się w życiu bawić tak niewinnie, „jak dziecię nad łożem śmierci". Uśmiech tak dobrze otwiera wrota innego świata, jak łzy. Wejdźcie i przyjdźcie, czy też wyprowadźcie się, a znajdziecie zawsze to, czego wam potrzeba w ciemności, lecz nie zapominajcie nigdy o tem, że jesteście blizy wrót.

Po tem długim okrażeniu wracam do mego punktu wyjścia, że „warto ludziom przypominać, iż nawet najmniejszy z nich ma zdolność wyrzeźbienia na wzór boga, którego sobie wybrał, wielkiej moralnej osobistości, złożonej w równych częściach z siebie samego i ze swego ideału". Tymczasem tę „wielką moralną osobistość" wykuwano zawsze tylko w głębinach życia a współdziałanie niezbędnego ideału wzmaga się tylko przez nieustanne „odsłonięcia w boskości". Każdy może w duchu wspiąć się na wyżyny cnotliwego życia i wiedzieć każdej chwili, co należałoby zrobić, ażeby postępować, jak bohater lub święty. Atmosfera dokoła nas musi się o tyle przemienić, że zrówna się w końcu z atmosferą pięknej krainy złotego wieku u Swedenborga, gdzie powietrze nie pozwala kłamstwu opuścić ust. Nadchodzi potem chwila, kiedy

najmniejsze zło, jakiego chciano wyrządzić, ogra-  
da de naszych stóp, jak kula ołowiana po tarczy  
bronzowej i gdzie mimo naszej wiedzy zmienia się  
wszystko prawie w piękno, miłość i prawdę. Ale  
atmosfera ta tworzy się tylko dokoła tych, którzy  
usiłowali dość często przewietrzać swoje życie i o-  
twierali wrota innego świata. W pobliżu tych wrót  
coś widać, w pobliżu tych wrót się kocha. Kochać  
bliźniego to nie znaczy tylko oddawać mu się całko-  
wicie, służyć i dopomagać. Możesz wśród najwięk-  
szych ofiar nie być ani dobrym ani pięknym, ani  
szlachetnym, a siostra miłosierdzia, umierająca  
przy łożu chorego na tyfus, ma może duszę zawist-  
ną, małostkową i nędzną. Kochać bliźniego w trwa-  
łych głębiach, to znaczy kochać w nim ów wieczny  
rdzeń, który żyje w drugich, gdyż bliźnim jest  
przedewszystkiem ten, kto najbardziej zbliża się  
do Boga, czyli do tego, co najczystsze i najlepsze  
w człowieku. Albowiem tylko trzymając się blisko  
wrót, o których właśnie mówiłem. odkrywa się to,  
co w duszach jest boskiego. Wówczas będzie moż-  
na powiedzieć z wielkim Janem Pawłem: „Jeśli  
chcę drugą istotę kochać serdecznie i wszystko jej  
przebaczyć, to należy mi tylko popatrzeć na nią  
przez pewien czas w milczeniu“. Należy nauczyć  
się widzieć, aby nauczyć się kochać. „Przeżyłem  
dwadzieścia lat obok mej siostry“ — powiedział  
mi pewnego dnia mój przyjaciel — „lecz z o b a c z y ł e m ją dopiero w chwili śmierci naszej mat-  
ki“. I tu musiała dopiero śmierć otworzyć gwałtownie  
wielkie wrota, ażeby dwie dusze poznały się  
w promieniu praświatła. A czyż jest między nami  
ktoś taki, kto nie byłby otoczony siostrami, których  
nie widział?



Na szczęście istnieje nawet u najmniej widzących, zawsze coś, co działa milcząco tak, jak gdyby oni widzieli. Być może, że być dobrym to nic innego, jak być w trochę większej jasności tem, czem drudzy są w ciemności. To też jest to bezwątpienia z korzyścią, jeśli człowiek się stara wznosić swe życie i dążyć do szczytów, gdzie osiąga niezdolność do złego postępowania. To też jest to z korzyścią, przyzwyczajając oczy do przypatrywania się zdarzeniom i ludziom w boskiej atmosferze. Lecz i to nie jest niezbędne. Jak drobną musi być taka różnica w oczach Boga! Żyjemy w świecie, w którym prawda panuje na dnie i nie ona, lecz kłamstwo wymaga objaśnienia. Nie gardź sobą, jeśli zasmuci cię szczęście przyjaciela! Niedługą będziesz miał drogę do znalezienia w samym sobie czegoś, co nie będzie zasmucone. A jeżeli nie odbędziesz tej drogi, to i cóż? Coś się przecież nie smuci...

Kto nie myśli o niczem, posiada tę samą prawdę, co myślący o Bogu; jest ona tylko trochę dalej od progu i oto wszystko. „Nawet w najpospolitszym życiu“ — powiada Renan — „jest ogromna część tego, co się czyni dla Boga. Najniższy człowiek woli być sprawiedliwym, niż niesprawiedliwym. Wszyscy modlimy się i uwielbiamy nie wiedząc o tem i to nie tylko raz na dzień“. Zdumienie ogarnia, ilekroć przypadek odsłoni nam nagle znaczenie tego boskiego udziału. Dokoła nas znajdują się tysiące i tysiące biednych istot, które w życiu nie widziały nic pięknego. Przychodzą i odchodzą w ciemności: zdaje się, że wszystko pomarło i nikt na nie nie zważa. A potem nadchodzi dzień, kiedy proste słowo, niespodziewane milczenie, drobna

lza płynąca ze źródeł piękna, może nas pouczyć, że znalazły środki i drogi do wykarmienia w duszy ideału, piękniejszego od najpiękniejszych rzeczy, jakie usłyszały ich uszy i widziały ich oczy. O szlachetne i blade ideały milczenia i ciemni! Wy to pierwsze budzicie uśmiechy aniołów i wznosicie się prosto do Boga. W ilu niezliczonych chatach, w jakich jaskiniach nędzy i w jakich więzieniach karmi was się może w tej chwili łzami i najczystszą krwią biednej duszy, która się nigdy nie śmiała! Tak samo pszczoły, kiedy wszystkie kwiaty dookoła wymarzną, dają tej, która ma być ich królową, miód tysiąc razy cenniejszy od tego, którym dzielą się z siostrami codziennego życia. Któż z nas nie spotkał na drogach żywota opuszczonej duszy, która jeszcze nie straciła odwagi do żywienia w ciemnościach myśli bardziej boskiej i czystszej od wszystkich, które tylu miało sposobność wybierać w świetle. I tutaj prostota jest ulubioną niewolnicą Boga i wystarczy może, by kilku mędrców wiedziało dobrze, co należy czynić, ażeby reszta postępowała tak, jakby również o tem wiedziała.

### **O szczerości.**

Niema w miłości trwałego i doskonałego szczęścia poza kręgiem atmosfery zupełnej szczerości. Aż do tej granicy jest miłość jedynie próbą. Żyje się w oczekiwaniu, a pocałunki i słowa są tylko czemś tymczasowem. Ale ta szczerość daje się osiągnąć tylko między ludźmi o wysokiej i wyrobionej świadomości. Jednak i to samo nie wystarcza. Aby szczerość stała się naturalną i potrzebną, musi obustronna świadomość być jednakiego rodzaju, objętości i wartości. Dlatego to przemija ży-

cie wielu ludzi, a nie spotykają duszy, wobec której mogliby być szczerymi.

Niepodobna jednak być szczerym względem bliźniego, nie nauczywszy się poprzednio szczerości wobec samego siebie. Ta szczerność nie jest niczem innym, jak tylko poznaniem i analizą sprężyn wszelkich ruchów życiowych. Wyraz tego poznania można potem podsunąć przed oczy istoty, z którą szuka się szczęścia i szczerości.

Tak pojęta szczerność, niema na celu prowadzenia do moralnej doskonałości. Wiedzie ona gdzieindziej, o wiele wyżej, jeśli kto chce, ale w każdym razie do znacznie więcej ludzkich i płodnych regjonów. Doskonałość charakteru taka, jak ją się rozumie w życiu zwyczajnem, nie jest często niczem więcej, jak tylko bezpłodną wstrzeźmiewczością, rodzajem snu duszy, zmniejszeniem życia popędów, będącego w gruncie rzeczy jedynem źródłem wszelkiego życia, jakie sobie kształtujemy. Ta doskonałość dąży do tego, żeby przytłumić zbyt gorące życzenia, dumę i ambicję, próżność, egoizm i chuci, jednym słowem wszystkie ludzkie namiętności, czyli wszystko, co się składa na naszą pierwotną siłę życiową, na macierzysty grunt naszej życiowej energii, której nie nie zdoła zastąpić. Jeśli jednak wszelkie objawy życia zdusimy w sobie, aby zastąpić je obserwowaniem ich klęsk i zwalisk, to niebawem nie zostanie nam nic do obserwowania.

Nie idzie zatem o to, żeby nie posiadać żadnych namiętności, grzechów ani błędów. To nawet niemożliwe, dopóki człowiek żyje pośród ludzi, ponieważ bardzo niesłusznie nazywa się namiętnościami, grzechami, i błędami to, co tworzy właś-

nie podstawę ludzkiej natury. Idzie raczej o to, żeby swoje namiętności znać w szczegółach i tajemnicach i przypatrywać się ich igraszce z dostatecznej wyżyny, bez obawy o to, że nas ściągną na dół i wymkną się z pod naszego nadzoru, ażeby szkodzić nam samym albo naszemu otoczeniu.

Od chwili, kiedy się zacznie widzieć działanie wsoich nawet najniższych i najgorszych popędów z takiej wyżyny — oczywiście jeżeli się nie jest złym naumyślnie, o co zresztą trudno, skoro rozum zdobył już ową jasność i siłę, potrzebną do takiej obserwacji — od chwili, kiedy się zacznie tak widzieć ich działanie, niewinnieją jak dzieci pod okiem rodziców. Można je nawet stracić z oczu i zapomnieć na chwilę o pilnowaniu, mimo to dopuszczają się tylko niewielkich przewinień. Albowiem przymus, zniewalający je do naprawienia popełnionego złego, uczy je ostrożności i odzwyczajają je od wyrządzania szkody.

Jeśli się raz osiągnęło dostateczną szczerłość względem samego siebie, to nie wynika z tego jeszcze, żeby ją oddawać na pastwę pierwszemu lepszemu. Najszczerzy i najuczciwszy człowiek ma prawo ukrywać przed drugim większą część tego, co myśli i czuje. Jeśli nie jesteś pewien, że prawda, którą chcesz wypowiedzieć, będzie także zrozumiana właściwie, zamilknij lepiej. Jeżeli zaś w kimś drugim zaczęłaby wyglądać na kłamstwo, to sprowadziłaby tam tyle nieszczęścia, co kłamstwo zwykłe. Cokolwiek powiedzieliby o tem moralisci bezwzględni, to pewna, że skoro nie żyje się z kimś na jednakowym stopniu uświadomienia, wymaga każda prawda do wywołania wrażenia prawdy, tego, żeby ją uprzystępnić. Nawet Jezus

Chrystus musiał większość prawd, objawianych uczniom, odpowiednio przekształcać. Gdyby bowiem miał być mówić do Platona albo do Seneki, zamiast do galilejskich rybaków, byłby im prawdopodobnie powiedział rzeczy dość odmienne od tych, które mówił. Należy zatem każdemu powiedzieć tylko taką prawdę, jaką może przyjąć w chacie lub w pałacu, zbudowanym dla prawd własnego życia. Dawajmy jednak drugim zawsze dziesięć lub dwadzieścia razy więcej prawd, aniżeli oni dają nam w zamian, gdyż temu, kto zdobył poznanie, należy być tutaj tak samo pierwszym, jak we wszystkich innych okolicznościach.

Panowanie szczerości zaczyna się dopiero wtedy, kiedy przystosowywanie staje się już niepotrzebnem. Dopiero wtedy wstępuje się w u- przywilejowane państwo zaufania i miłości. Jest ono jako zachwycające morskie wybrzeże, na którym schodzą się ludzie bez osłon i kąpią się w promieniach dobroczynnego słońca. Aż do owej godziny żyło się, jak winny, w ustawicznej baczności. Nie wiedziano aż dotychczas o tem, że każdy człowiek ma prawo być takim, jakim jest, że się w duchu ani w ciele nie ma części, której należałoby się wstydzić. Niebawem uczy się człowiek z ulgą zbrodniarza, uznanego niewinnym, że te części, o których sądził, że je należy ukrywać, są właśnie najgłębszemi częściami siły życiowej. Nie stoi się już sam na sam z tajemnicą własnego sumienia, a nawet najnędnniejsze z odkrytych w niem tajemnic, nie mocą już, jak niegdyś, lecz podnoszą miłość w błogiem i stałem świetle, jakie rozlewa w niem przymierze dwu dusz.

Wszelkie ułomności, wszystko co małe, wszel-

kie słabości, które się w ten sposób odsłania, zmieniają po odsłonięciu swój charakter, „a największy grzech“, jak powiada pewna bohaterka dramatu, „wyspowiadany w szczerym pocałunku. staje się prawdą piękniejszą od samej niewinności“. „Piękniejszą?“ Nie wiem, — lecz młodszą, żywszą, wi-  
doczniejszą, czynniejszą i pełniejszą miłości.

W tym stanie nie przyjdzie nam już na myśl ukrywanie jakiejś tajemnej myśli, tajemnego uczucia. Nie mogą one już u nas wywołać rumieńca, gdyż przyznając się do nich, zadajemy im kłam, oddzielamy je od siebie i dowodzimy, że nie należą już do nas, że nie biorą już żadnego udziału w naszym życiu, że nie powstają już z czynnej, zamierzonej, osobistej części naszej siły, lecz z pierwotnej, bezkształtnej, podbitej istoty, przedstawiającej teraz dla nas widok zabawny, jak się to dzieje zawsze, ilekroć się przypatrujemy igraszce sił natury. Ruch nienawiści, egoizmu, naiwnej próżności, zazdrości albo fałszu, staje się po zbadaniu w świetle zupełnej szczerości, pociągającym, osobliwym kwiatem. Szczerłość oczyszcza wszystko tak, jak ogień. Zabija niebezpieczne kielki i zamienia najgorszą niesprawiedliwość w przedmiot żądzy wiedzy tak niewinnie, jak śmiertelna trucizna w szklanej szafce muzeum. Pomyślmy sobie, że Shylok byłby zdolny do poznania swego skąpstwa i wypowiedzania się z niego, a przestanie być skąpy, ale skąpstwo przybierze u niego kształt inny, a przestanie działać odpychająco i szkodliwie.

Nie jest prócz tego koniecznością, żeby się poprawiać z wyznanych błędów, są bowiem takie, których, żeby tak rzec, potrzeba naszemu duchowi

i charakterowi. W wielu naszych błędach tkwią nawet korzenie wielu zalet, lecz poznanie tych błędów i przyznanie się do nich strąca chemicznie ich truciznę tak, że odtąd spoczywa na spodzie naszego serca, jako leniwa sól, której niewinne kształty można badać wygodnie.

Oczyszczająca siła przyznania się, zależy od wysokości duszy, która to czyni, lecz także od duszy, która je przyjmuje. Jeśli nastanie równowaga, podnoszą wszystkie przyznania się poziom szczęścia i miłości. Skoro się do nich przyznało, zmieniają się stare i nowe kłamstwa, najcięższe wady charakteru w niespodziewane klejnoty i jako piękne posągi w parku, stają się uśmiechniętymi świadkami i spokojnymi dokumentami zupełnie jasnego światła dziennego.

Wszyscy tęsknimy do tej uszczęśliwiającej szczerości, boimy się jednak, że ci, którzy nas kochają, kochaliby nas mniej, gdybyśmy im przyznali się do czegoś, czego nie ośmielamy się niemal odsłonić przed sobą. Wydaje nam się, że pewne wyznania zeszpeciłyby na wieki obraz, jaki sobie o nas wytworzyli. Gdyby jednak zeszpeciły go rzeczywiście, byłoby to dowodem, że nie kochano nas równie wysoko, jak myśmy kochali. Jeśli ten, kto otrzymuje przyznanie się, nie może się wznieść o tyle, żeby nas właśnie za to przyznanie się kochał jeszcze bardziej, w takim razie zachodzi nieporozumienie w naszej miłości. Nie ten się powinien rumienić, kto się przyznaje, lecz ten, kto nie pojmuje, że przez wyznanie błędu już jesteśmy ponad nim. To już nie my, to ktoś obcy stoi na miejscu, gdzie popełniliśmy błąd. Wytępiłiśmy już ten błąd z naszej egzystencji. Plami on tylko

tego, kto nie chce przyznać, że ten błąd nas już potem nie plami. Nie ma on już nic wspólnego z naszym życiem rzeczywistym. Jesteśmy już tylko jego świadkiem przypadkowym i tak nieodpowiedzialnym, jak dobra ziemia za chwasty, albo zwierciadło za przesuwające się po nim brzydkie odbicie.

Nie wolno nam się również bać tego, że ta zupełna szczerość, to przeźrocyste dwużycie kochających się dusz zburzy tło cieni i misterjów, jakie musi się znajdować na dnie każdego trwałego przywiązania, ani tego, że wysuszy wielkie tajemnicze jezioro, które na szczycie każdej miłości nasyca życzenie wzajemnego poznania. owo życzenie, nie będące niczem innym, jak tylko namiętną formą żądz kochania się jeszcze więcej. Nie, to tło nie jest niczem, jak tylko czemś w rodzaju ruchomej tymczasowej ściany, dostatecznej wprawdzie, ażeby zwykłej miłości nadać złudzenie nieskończonej przestrzeni. Gdy się ją jednak usunie, ukazuje się za nią rzeczywisty widnokrąg z prawdziwym niebem i morzem. Co zaś do wielkiego tajemniczego jeziora, to dostrzega się niebawem, że zaczerpnęło się z niego dotąd tylko kilka kropel lichej wody. Dla miłości otwiera ono swe ożywece źródła dopiero w chwili szczerości. Albowiem prawda między dwoma istotami, jest nieporównanie płodniejszą, głębszą i bardziej niewyczerpaną, aniżeli jej świętoszkostwa, zatajenia i kłamstwa.

Nie obawiajmy się zatem wyczerpania naszej szczerości i nie wyobrażajmy sobie, że można osiągnąć jej ostateczne granice! Tam, gdzie uważamy ją za bezwzględna i chcemy, żeby nią była, jest



tylko względną, ponieważ może się objawić tylko w granicach naszej świadomości, a granice jej przesuwają się tak z dnia na dzień, że jakaś czynność albo myśl, które oddajemy w barwach, w jakich widzimy je w chwili wyznania, mogą jutro mieć całkiem inną doniosłość, aniżeli ta, którą nadajemy im dzisiaj. Tak samo mogą czynność, myśl lub uczucie, do których nie przyznamy się dzisiaj, ponieważ ich jeszcze dziś nie dostrzegamy, stać się jutro przedmiotem wyznania, o wiele może pilniejszego i poważniejszego od wszystkich dotychczasowych.

### **Piękno wewnętrzne.**

Niema na ziemi nic bardziej chciwego piękna i nic łatwiej piękniejącego od duszy. Nic na ziemi nie wznosi się naturalniej i nie uszlachetnia się prędzej. Nic na ziemi nie słucha chętniej czystych i szlachetnych rozkazów. Nic na ziemi nie poddaje się łatwiej władzy myśli, wyższej od innych. To też bardzo mało dusz opiera się na ziemi panowaniu duszy, oddanej pięknu.

Możnaby zaiste powiedzieć, że piękno jest wyłącznym pokarmem naszej duszy; ona szuka go wszędy i nie umiera z głodu nawet w życiu najniższym. Niema bowiem piękna, które przeszłoby niespostrzeżenie. Może przejść tylko nieświadomie, lecz działa w nocy równie silnie, jak w jasny dzień. Tylko radość jest tam mniej uchwytną i na tem polega cała różnica. Należy się przypatrzeć najzwyczajniejszym ludziom w chwili, gdy technienie piękna muśnie zlekka ich ciemność. Skoro znajdą się razem — wszystko jedno gdziekolwiekby się znajdowali — skoro tylko znajdą się razem, naj-

pierwszem staraniem wydaje im się — niewiadomo dlaczego — to, żeby pozamykać wielkie wrota życia. A przecież każdy z nich, kiedy był z samym sobą, żył nieraz odpowiednio do swojej duszy. Kochał może, a cierpiał bezwątpienia. Niezawodnie też dochodziły go „dźwięki dalekiego kraju pełnego blasku i lęków“ a niezawodnie korzystał się niejednego wieczoru w milczeniu przed prawami głębszemi od morza. Skoro jednak znajdą się razem, wołają upajać się rzeczami niskimi. Doznają nie wiem jakiego dziwnego lęku przed pięknem, im zaś ich więcej, tem także większy ten lęk, jak przed milczeniem albo przed zbyt czystą głęboką prawdą. Jest to takie prawdziwe, że gdyby ktoś z nich popełnił dnia tego coś bohaterskiego, usiłowałby to usprawiedliwić, podsuwając czynowi swojemu pobudki, zaczerpnięte ze sfery niskiej, w której się razem znajdują. Należy się jednak przysłuchać, kiedy ktoś wymówi słowo wyniosłe i odkryje niejako źródła życia. Dusza jego ośmieliła się okazać na chwilę taką, jaką jest w miłości, w bólu, w obliczu śmierci, albo w samotności na widok gwiazd nocnego nieba. Ale czy nie odczuwa się w takich chwilach, z jaką jednozgodną siłą zaczynają podziwiać wszystkie dusze i jak nawet najslabsza z nich zgadza się w głębi swojego więzienia w niewypowiedziany sposób z tem słowem, w którym poznała jedno z równych sobie? Odżywają nagle w pierwotnej i właściwej sobie atmosferze, a gdybyśmy mieli uszy aniołów, jestem pewien, że słyszelibyśmy wszechmożny poklask w państwie przedziwnego światła, gdzie żyją pomiędzy sobą. Czy nie sądzi każdy, że gdy-

by co wieczora padało słowo odpowiednie, nabierałyby odwagi nawet najtrwożliwsze dusze. a cała ludzkość żyłaby prawdziwiej? Nie potrzeba nawet tego, żeby to odpowiednie słowo wracało. Stało się coś głębokiego i pozostawi ślady bardzo głębokie. Duszę, która wymówiła to słowo poznają jej siostry każdego wieczora, a sama ich obecność wkładać będzie odtąd w najobojętniejsze rozmowy coś wzniosłego. W każdym razie nastąpiła już zmiana, której niepodobna bliżej określić. Niskie rzeczy nie mają już tej samej wyłącznej mocy a przełkłe dusze wiedzą, że gdzieś istnieje schronienie.

Naturalne i pierwotne stosunki duszy do duszy są napewno stosunkami piękna. Piękno jest wyłączną mową dusz naszych; innej nie rozumieją. Nie mają innego życia, nie zdołają nic innego wytworzyć i nie mogą w niczem innem brać udziału. I dlatego to nawet najbardziej uciemiona dusza przykłaśnie każdej wielkiej i pięknej myśli. każdemu takiemu słowu i każdemu czynowi, jeśli wogóle można mówić, że niskie dusze istnieją. Nie ma ona organu, który łączyłby ją z jakimś innym żywiołem. Widzi się to w życiu codziennie i co godziny, wie zaś o tem zarówno ten, kto nosi je nieustannie w swem sercu. Czy, jeśli któregoś dnia pożądasz głęboko jakiejś drugiej istoty, udasz się także do kogoś, kto śmiał się nikczemnie, gdy obok niego przechodziło piękno? Czy udasz się także do kogoś, kto wielkoduszny czyn, lub choćby tylko czyste usiłowanie splamił potrząśnieniem głową? Być może, że należysz do tych, którzy się na to godzili, ale w tej chwili poważnej, kiedy to prawda puka do drzwi twoich, zwrócisz się do każdego, kto umiał się uginać i ko-

chać. Dusza twoja zawyrokowała w swych głębiach, a ten milczący i nieomylny wyrok wychyli się na powierzchnię nawet po trzydziestu latach i zaprowadzi cię do siostry, będącej bardziej tobą samym, aniżeli twoje własne ja, ponieważ stała już bliżej piękna.

Tak mało potrzeba do ośmielenia piękna w duszy, tak mało do przebudzenia uspiionych aniołów. Nie potrzeba może nawet ich budzić; wystarczy poprostu nie usypiać. Może sił potrzeba nie na wchodzenie na górę, lecz na schodzenie na dół. Czy to nie wymaga wysiłku, żeby w obliczu morza lub nocy myśleć o rzeczach miernych? Któraż to zaś z dusz nie znajduje się ciągle nad morzem i w obliczu nocy? Gdybyśmy się piękna mniej bali, doszlibyśmy do tego, że nie znajdowalibyśmy w życiu nic innego. W rzeczywistości bowiem, ono jedynie znajduje się we wszystkim, co tylko widać. Wiedzą to wszystkie dusze i są w każdej chwili gotowe, lecz gdzież są ci, którzy nie ukrywają swego piękna? A przecież wystarczy jedna z nich, aby „zrobić początek“? Czemu nie ośmielić się być tą, która „robi początek“? Wszystkie inne wyczekują pożądliwie dokoła, jako dzieci wobec zaczarowanego zamku. Cisną się na próg, szepcą, zaglądną przez szpary, lecz nie mają odwagi otworzyć bramy. Czekają na dorosłego, żeby otworzył, lecz dorosły nie przychodzi prawie nigdy.

A czego byłoby potrzeba ażeby zostać tym dorosłym, którego się oczekuje. Prawie nic. Dusze nie wymagają zbyt wiele. Piękna poprostu myśl, której nie wypowiesz, a którą pieścisz w tej chwili, rozświeca cię, jak przezroczyście naczynie. One to ujrzą i przyjmą cię w zupełnie inny sposób, aniże-

li gdybyś o tem myślał, jakby brata oszukać. Zdumieć się przychodzi, gdy niektórzy ludzie mówią nam, że nie spotkali jeszcze nigdy prawdziwej brzydoty i że nie wiedzą, co to jest dusza niska. Ale to nie jest zdumiewające. Oni już „zrobili początek“. Ponieważ sami najpierw byli piękni, przyciągali każde mijające ich piękno, jak latarnia morska przyciąga okręty ze wszystkich czterech stron świata. Są ludzie, którzy skarżą się naprzykład na kobiety, a nie zważają na to, że przy pierwszym spotkaniu z kobietą wystarczy jedno słowo, jedna myśl przecząca pięknu i głębi, ażeby istnienie ich w duszy kobiecej zatruć raz na zawsze. „Co do mnie“, powiedział mi pewien mędrzec, „nie spotkałem kobiety, któraby nie dała mi czegoś wielkiego“. On sam był najpierw wielkim i to było jego tajemnicą. Dusza nie przebacza tylko jednej rzeczy, to jest przymusu oglądania, dotknięcia lub podzielenia się jakimś brzydkim czynem, słowem lub myślą. Tego dusza przebaczyć nie może, gdyż przebaczenie byłoby tutaj zaprzeczeniem siebie. A jednak dla wielu ludzi genialność, siła i zręczność znaczą tyle, co trzymanie przedewszystkiem duszy zdala od życia, i zostawianie odłogiem wszelkich zbyt głębokich usiłowań. Postępują tak, nawet w miłości i dlatego kobieta, stojąca jeszcze bliżej prawdy, nie przeżywa z nimi ani chwili prawdziwego życia. Moznaby rzec, że boją się doścignąć własną duszę i że zadają sobie trudu, aby pozostawać od siebie w oddaleniu tysiąca mil. Należałoby przeciwnie spróbować wyjść poza siebie samego. Pomyśl lub powiedz w tej chwili o rzeczach, które ci się wydają zbyt piękne, ażeby mogły być prawdziwemi, a spraw-

dzą się jutro, jeśli raz spróbowałeś dzisiaj wieczorem pomyśleć je lub wypowiedzieć. Spróbujmy być piękniejszymi od siebie samych; nie prześcigniemy naszej duszy. Człowiek nie myli się nigdy, ilekroć chodzi o milczące ukryte piękno. Zresztą od chwili, kiedy źródło piękna raz zacznie się sączyć, jest to dość obojętne, czy człowiek się myli, czy też nie. Lecz któż myśli chociażby nad najmniejszym wysiłkiem, o ile go nikt nie widzi? A przecież znajdujemy się tu w dziedzinie, gdzie wszystko ma swój skutek, bo wszystko czeka. Wszystkie wrota otwarte, wystarczy je uchylić, a zamek pełen będzie skrzepowanych królewien. Często wystarczy jedno słowo na wymiecienie góry błota. Czemuż nie mieć odwagi przeciwstawienia niskiemu zapytaniu odpowiedzi szlachetnej? Czyż sądzi się, że przeszłaby zupełnie niepostrzeżenie, lub wzbudziłaby tylko zdumienie? Czy nie należałoby wierzyć, że to zbliżyłoby nas do rozmowy dwu dusz? Nie wie się dobrze, co przez to nabiera odwagi, co się wyzwala. Ten nawet, kto tę odpowiedź odpycha, postępuje wbrew własnej woli o krok ku swemu pięknu. Nic pięknego nie umiera, nie umiera, nie oczyściwszy wprzód czegoś i nie ma piękna, któreby przepadło. Nie należy się obawiać rozrzucania go po drodze. — Będzie tam leżało przez całe tygodnie i lata, lecz nie rozpuści się tak samo jak diament, aż przejdzie ktoś, kto zobaczy, jak błyszczy, podniesie je i pójdzie uszczęśliwiony. Na cóż więc powstrzymywać w sobie samym piękne i wzniosłe słowo dlatego, że się sądzi, iż się nie będzie zrozumianym? Na co przeskadzać powstawaniu chwili wyższej dlatego, że się sądzi, iż nasze otoczenie nie mogło-

by z tego korzystać? Czemu przygniatać mimowolny pęd duszy ku szczytom dlatego, że się żyje wśród mieszkańców doliny? Czy głębokie uczucie traci w ciemności na sile? Czy ślepiec nie ma innych środków, jak tylko czy do odróżnienia tych, którzy go miłują od tych, którzy go nie miłują? Czy pięknu potrzeba do istnienia tego, żeby je zrozumiano? Czy nie należy raczej sądzić, że każdemu daje ono coś, rozumiejącego znacznie więcej ponadto, co rozumie na pozór i więcej, aniżeli mu się zdaje, że rozumie? „Nawet najnędniejszym“, powiedziała mi pewnego dnia najwyższa istota, jaką miałem zaszczyt poznać, „nawet najnędniejszemu nie miałam odwagi odpowiedzieć coś brzydkiego lub przeciętnego“. I widziałam, że ta istota, którą potem śledziłem w życiu jeszcze długo, miała niewytłumaczoną władzę nad najposepniejszemi, najbardziej zamkniętymi w sobie, ślepymi i buntowniczymi duszami. Albowiem żadne usta nie wyrażą potęgi duszy, starającej się żyć w atmosferze piękna i dowiedzenia w sobie czynem tego piękna. A czy to nie rodzaj tego stwierdzenia czyni życie nędznem lub boskiem?

Jeśliby można dotrzeć aż na dno rzeczy, to kto wie, czy nie odkryłoby się, że to potęga kilku pięknych dusz trzyma inne przy życiu. Czy wyobrażenie, jakie sobie ktoś wytworzy o kilku wybranych istotach nie jest jedyną żywą i skuteczną moralnością? A jakież jednak udział ma w tem dusza wybrana i wybierającego? Czy nie miesza się to tajemniczo i czy ta moralność pierwowzorów nie dotyka głębi, jakich nie dosięże nigdy moralność najpiękniejszych ksiązek? Istnieje tu wpływ takich rozmiarów, że trudno granice jego oznaczyć,

oraz źródło siły, z którego każdy z nas pije więcej, aniżeli raz na dzień. Czy jakiś chybiony ruch u jednej z tych istot, które uważało się za doskonałe i kochało się w zakresie piękna, nie zmniejsza naszej ufności w ogólną wielkość rzeczy i naszego dla niej podziwu?

Z drugiej strony zaś sądzę, że niema na ziemi nic takiego, co nieznaczniej i naturalniej zwiększałoby piękność duszy niż pewność, że gdzieś niedaleko od niej istnieje czysta i piękna istota, którą może miłować bez wszelkich myśli ukrytych. Jeżeli rzeczywiście zbliży się do takiej istoty, piękno przestaje być rzeczą martwą, jakie pokazuje się obcym, lecz nabiera nagle rozkazującego życia, a działanie jej jest tak naturalne, że nic nie stawia jej oporu. Dlatego też należy mieć na uwadze: Człowiek nie jest sam, dobrzy muszą czuwać.

W ósmej księdze swojej siódmej Enneady kończy Plotyn potem, co powiedział o nadzmysłowem, czyli o boskiem pięknie, w sposób następujący: „Co się nas tyczy, to jesteśmy piękni, o ile należymy do siebie, a brzydcy, gdy spadamy do niższej jakiejś natury. Piękni jesteśmy także, gdy znamy siebie, a brzydcy, kiedy się nie znamy“. Nie zapominajmy jednak, że jesteśmy tutaj na górach — gdzie znać siebie nie znaczy poprostu tylko tyle, co wiedzieć, co się w nas odbywa, gdy jesteśmy zakochani albo zazdrośni, trwożliwi albo zawistni, szczęśliwi lub nieszczęśliwi. Poznaniem siebie nazywa się tam, gdzie jesteśmy, poznanie tego, co boskiego odbywa się w człowieku. Jesteśmy brzydcy, kiedy oddalamy się od bogów, znajdujących się w nas samych, a piękniejemy w miarę jak ich odkrywamy. Ale nie znajdziemy boskości w dru-



gich, jeśli im wpierv nie pokażemy tego, co w nas jest boskiem. Jeden bóg musi dać znak drugiemu, a wszyscy bogowie odpowiadają na znak zaledwie dosłyszalny. Niepodobna powtarzać tego dość często, że wystarczy ledwie dostrzegalna szczelina, ażeby wody niebios wtargnęły do naszej duszy. Wszystkie puhary chylą się ku źródłom nieznanym i znajdujemy się w miejscu, gdzie myśli się tylko o pięknie. Gdyby można zapytać jakiego anioła, co dusze ludzkie porabiają w ciemności, odpowiedziałby chyba ten anioł, który latami patrzył daleko po za to, co się o tem ludzkim oczom wydaje: „Przetwarzają oddane sobie drobne rzeczy na piękno“. Tak, trzeba przyznać, że dusza ludzka osobną odwagą godzi się na to, żeby przez całe życie pracować w ciemności, dokąd większość nas ją wypędza i gdzie nikt z nią nie mówi. Czyni ona tam, co może i nie skarży się na to, lecz stara się wywabić z rzucanych sobie krzemieni ów rdzeń wiecznego światła, jaki może w sobie ukrywają. A w tej skrzętności czyha na chwilę, w której zdoła jakiejś bardziej ukochanej lub bliżej stojącej siostrze pokazać, żmudnie nagromadzone skarby. Są jednak tysiące istot, w których żadna z sióstr ich nie wyszuka, a życie tak je zalekło, że odejdzie, nic nie pokazawszy, nie ozdobiwszy się ani razu najzwyklejszymi kamieniami swojej zwykłej korony...

A mimo to czuwa ona w swajem niewidzialnem niebie nad wszystkim. Przestrzega i miłuje, podziwia i odpycha. W każdym nowem zdarzeniu wynurza się na powierzchnię w oczekiwaniu, że zmusi się ją znowu do zstąpienia w głąb, ponieważ uchodzi za naprzykrzoną i szaloną. Błądzi jak

Kassandra pod stopami Atrydów. Wypowiada tam nieustannie słowa, których prawda nawet sama jest tylko cieniem, ale nikt jej nie słucha. Ilekroć wzniesiemy oczy, czeka na promień słońca albo gwiazd, z którego myśl pragnie zrobić, albo raczej nieświadome bardzo czyste dążenie. A kiedy oczy nasze nic jej nie przyniosą, potrafi ona swe biedne rozczarowanie zamienić w coś niewysłowionego, co ukrywać będzie aż do śmierci. Kiedy kochamy, upaja się światłem przy drzwiach zamkniętych i nie traci godzin w swojej nadziei i oczekiwaniu. Światło wciskające się szczelinami, staje się dla niej dobrem, pięknem lub prawdą. Jeśli się zaś drzwi nie rozewrą — a u wielu istot czy otwierają się naprawdę? — wraca do swojego więzienia, a ból jej będzie może większą prawdą, aniżeli wszystkie, jakie kiedykolwiek staną nam przed oczyma. Znajdujemy się bowiem na miejscu niewypowiedzianych przemian, a co po tej stronie drzwi nie powstało, nie ginie, lecz mięsza się tylko z życiem...

Powiedziałem właśnie, że ona przemienia na piękno oddane sobie drobiazgi. Zdaje się nawet, im dłużej się nad tem zastanawiać, że niema ona innej racji bytu i że cała jej działalność polega na tem, żeby na dnie naszej istoty gromadzić nieopisane skarby piękna. Czy nie przemieniłoby się wszystko w piękno samo od siebie, gdybyśmy nie przeszkadzali nieustannie uporczywemu działaniu naszej duszy? Czy nawet zło nie nabiera ceny, jeśli ono wydobędzie z niego głęboki diament żalu? Czy w końcu nawet niesprawiedliwości, popełnione przez ciebie i łzy, spowodowane przez ciebie, nie staną się pewnego dnia światłem i miłością? Czy

dostrzegłeś kiedy w swem wnętrzu państwo tych oczyszczających płomieni? Zrobiono ci dziś wielką krzywdę; gesty były małe, czyny niskie i smutne, a ty płakałeś w brzydocie. Ale rzuć w parę lat potem spojrzenie we własną duszę i powiedz mi, czy pod wspomnieniem tego czynu nie widzisz czegoś, co czystsze już jest od myśli. Nie wiem, jaka to siła, nie mająca żadnego związku z potęgami tego świata, nie wiem, jakie źródło innego życia, z którego możesz pić aż do ostatniej godzinki i nic zdołasz go wyczerpać. A jednak nie pomagałeś niezmordowanej królowej i myślałeś o innych rzeczach, gdy tymczasem ów czyn bez twojego współudziału oczyszczał się w milczeniu twojej istoty i powiększał ilość drogocennej wody w naczyniu prawdy lub piękna: w naczyniu, które się nie rusza tak, jak mniej głęboki puchar prawdziwych lub pięknych myśli, lecz zasłonięty jest stale przed technieniem życia.

„Niema czynu, niema zdarzenia w naszym życiu“, powiada Emerson, „któreby prędzej lub później nie traciło swojej leniwej, przyczepionej do niego formy i nie wprowadziło nas w zdumienie, skoro z głębi naszego ciała uniesie się w niebo płomieni“. Jest to prawdą może w wyższem znaczeniu, aniżeli sam Emerson domyślał, gdyż im dalej się dociera w te strony, tem bardziej boskie odkrywa się sfery.

Nie wie się tego dostatecznie, na czem polega milcząca działalność otaczających nas dusz. Wy-mówiłeś głośniejsze słowo do jakiejś istoty i nie zrozumiano cię; uważałeś je za stracone i nie myślałeś nad tem już więcej. W tem pewnego dnia wynurza się to słowo w niesłychanem przemienieniu

i w tej chwili można zobaczyć niespodziane owoce, jakie wytworzyło w ciemności; potem zapada znówu wszystko w milczenie. Lecz cóż to szkodzi? Człowiek dowiaduje się, że nic w duszy nie ginie i że nawet najmniejsze z dusz mają swoje chwile jaśnienia. Nie można się ludzić pod tym względem; nawet najniezszczęśliwsi, najbardziej obnażeni mają wbrew sobie samym na dnie swojej istoty skarby piękna, których nie potrafią wyczerpać, Idzie tylko o przyzwyczajenie się do wyczerpania. Chodzi o to, żeby piękno nie było uroczystością odosobnioną w życiu, lecz stało się uroczystością codzienną. Nie potrzeba na to wielkiego wysiłku, żeby się dostać pomiędzy tych, „których oczy widzą ukwieconą ziemię i promienne niebo, nie w drobniutkich częściach, lecz we wzniosłych obszarach“. A mówię o kwiatach i niebiosach trwalszych, aniżeli te, które zwykle się widzi. Tysiącami kanałów może się piękno duszy naszej wznosić do sfery myśl. Przedewszystkiem zaś znajduje się cudowny środkowy kanał miłości.

Czy w miłości nie spoczywają najczystsze żywioły piękna, jakich duszy możemy użyć? Są istoty, które się w ten sposób w pięknie miłują. Tak kochać, znaczy tyle, co tracić zwołna zmysł dla brzydoty, co ślepnąć na wszelkie małoszki i spostrzegać w najmniejszych duszach tylko świeżość i dziewictwo. Tak kochać, to znaczy nie potrzebować już przebaczenia, nie móc ukryć niczego, ponieważ niema już nic, czegoby wszechobecna dusza nie przekształciła na piękno. Tak kochać, to znaczy widzieć zło już tylko na to, by pobłażliwość hartować i nauczyć się nie mieniać grzesznika z grzechem. Tak kochać, to znaczy podnosić w so-

bie całe otoczenie na wyżyny, gdzie już nikt zbłądzić nie może i skąd niski czyn spaść musi z tak wysoka, że dotknąwszy ziemi, ukaże swą diamentową duszę. Tak kochać, to znaczy wszystkie czuwające dokoła nas zamiary zamieniać na nieświadomie bezgraniczne ruchy i zwoływać wszystko, co piękne na ziemi, w niebie i w duszy, na uroczystość miłości. Tak kochać, to znaczy stać przed jakąś istotą, jak się stoi wobec Boga i zaklinać najmniejszym gestem obecność własnej duszy i wszelkich jej skarbów. Wówczas nie potrzeba już śmierci, nieszczęśliwych wypadków albo też do ukazania się duszy; wystarczy uśmiech. Tak kochać, to znaczy nie rozróżniać już miłości, zmieniającej się w piękno ani piękna, zmieniającego się w miłość, nie umieć już powiedzieć, gdzie kończy się promień gwiazdy lub zaczyna się pocałunek jakiejś wspólnej myśli. Tak kochać, to znaczy tak się zbliżyć do Boga, że aniołowie biorą nas w posiadanie, to znaczy wspólnie upiękniać tę samą duszę, która staje się z czasem jedynym aniołem Svendenborga. Tak kochać, to znaczy codziennie odkrywać nową piękność w tym tajemniczym aniele i postępować wspólnie ku coraz to żywszej i wyższej dobroci. Istnieje bowiem także martwe dobro, złożone tylko z tego, co minęło, lecz prawdziwa miłość czyni zbytecznym to, co przeminęło i stwarza za swem zbliżeniem się niewyczerpaną przyszłość dobroci bez łez i bez nieszczęścia. Tak kochać, to znaczy wyzwalać duszę i tak pięknieć, jak dusza wyzwolona. „Jeżeli we wzruszeniu, jakie musi ci sprawić to wielkie widowisko“ — powiada przy sposobności Plotyn, który we wszystkich znanych mi duchów stał najbliżej bóstwa —

„Jeśli w tem wzruszeniu nie zawołasz, że to piękne i jeśli potem przy zanurzeniu spojrzenia w siebie samego nie odczujesz czaru piękna, to w takim stanie napróżno szukasz nadzmysłowego piękna, gdyż szukasz tylko w niepięknem i brzydkiem. To też rozmowy, jakie tu prowadzimy, nie odnoszą się do wszystkich ludzi. Jeśli jednak poznałeś w sobie piękno, to wnieś się do wspomnienia piękna nadzmysłowego“ ..



KARIN MICHAELIS.

## **Radosna szkoła**

Tłum. z rękopisu za zezwoleniem autorki A. Kallas  
wydanie drugie.

Jest to bezsprzecznie najpiękniejszy, a zarazem najciekawszy z utworów, jaki wyszedł z pod pióra sławnej autorki „Ulfi Fangel“ i „Niebezpiecznego wieku“. Czytając „Radosną szkołę“ przeżywa się takie mnóstwo rozmaitych wrażeń coraz to innych, coraz to silniejszych. że wprosi emocjonują. Trudno oderwać się od tych kart, tak trudno byłoby rozstać się z najdroższym przyjacielem, który cudem jakimś powrócony nam został, gdyśmy go już za straconego uważali. Karmiono nas lichemi książkami — nareszcie ktoś, co pisze dobrze i ładnie, napisał książkę, która oprócz tego, że jest ciekawa i piękna, posiada humor. To jest radosny hymn na cześć młodości. To przejasny promień słońca po długich dżdżystych dniach smutku.

SACHER-MASOCH.

## **Demoniczne kobiety**

wydanie trzecie.

Na tom złożyły się bardzo ciekawe, jedynie w swoim rodzaju nowele, których tematem jest okrucieństwo kobiet, stosowane do mężczyzn. — SPIS RZECZY: Lola Teodora. Rude włosy. Kobieta-demon. Asma. Druga młodość. Przyjaciółki. Wiera Baranow. Czerwona noc w Dragalu. Drama oszeuli. Bryganci sycylijscy. Własna Prawo silniejszego. Dramat na wyspie Helgoland. Córka grabarza.

Powieści i nowele Sacher-Masocha są jedynemi w swoim rodzaju. Typy przezeń stwarzane dały nazwę „masochizmu“ pewnym zbroczeniom na tle seksualnem. Kto chce się dowiedzieć na czem one polegają niech czyta „Demoniczne kobiety“, gdzie tematem jest okrucieństwo kobiet stosowane do mężczyzn

GIACOMO CASANOWA.

## **Pamiętniki**

wydanie ilustrowane.

Opowiadania podróżnika awanturnika, który przygód po świecie miał nie mało, a opisać umiał je z werwą i talentem — jest książką arcyciekawą. Autor bowiem prawdę i zmyślenie pomieszać umiał wybornie, dodał temu sporo pieprzyku, ujął w formę lekką i wykwinną. I dlatego zyskał poczytność w całej Europie. Casanową zna każdy równie jak Dantego i Szekspira, choć pisarzem na ich miarę nie był. Ale awanturniczość jego zdobyła mu lepszą sławę, niż monumentalne dzieło.

# HEPTAMERON

## OPOWIADANIA KRÓLOWEJ NAWARRY

według dokumentów zebranych przez

### LE ROUX DE LINCY I MONTAIGLON

Tłumaczył St. Moulin.

Ilustrował Coeurdame

wydanie drugie.

Klasyczne to dzieło, niezrównane w swoim charakterze i wdzięku. ułożone jest na wzór „De-kamerona“, „Boccaccia“ i zawiera 72 nader ciekawych opowiadań na tle stosunków francuskich i włoskich za czasów Franciszka I., a więc w epoce Odrodzenia. Tematem królewskiej autorki w „Heptameronie“ jest miłość bynajmniej nie owijana zbytecznymi osłonami tak, że z punktu świętoszkostwa rzecz biorąc, opowiadania te nie mogłyby dziś nadawać się dla młodych pańienek.

W 72 nowelach zamknęła autorka cały szereg poglądów ówczesnego oświeconego społeczeństwa najżywońniejszą kwestję etyczną, bo kwestję miłości, na której opiera się byt rodu ludzkiego. Książkę, obejmującą 33 arkuszy druku, zdobi 35 nadzwyczaj efektywnych, kolorowych, całostronicowych ilustracji.

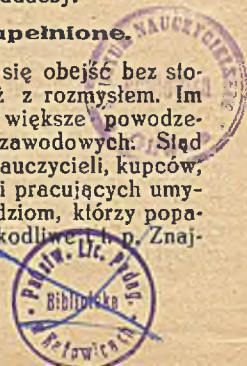
DR. J. D.

### Potęga sugestji

Wykład o mocy woli ludzkiej i wskazówki do jej wykonywania w życiu codziennem z licznymi przykładami i dowodami z dzieł najwybitniejszych psychologów i badaczy.

**Wydanie piąte przejrane i uzupełnione.**

Niema dziś człowieka, któryby mógł się obejść bez słowosowania sugestji w życiu bezwiednie czy też z rozmysłem. Im więcej ktoś biegnie w tej sztuce, ten osiąga większe powodzenie, czy to w stosunkach prywatnych, czy zawodowych. Stąd książeczka jest niezbędną w rękę rodziców, nauczycieli, kupców, polityków, sędziów, urzędników i wogóle ludzi pracujących umysłowo. Ponadto zaleca się ją z naciskiem ludziom, którzy popadli w jakikolwiek nałóg, przyzwyczajenie szkodliwe t. p. Znajdą oni tam nieocenione środki i wskazówki.





STUDIUM NAUCZYCIELSKIE  
W GLIWICACH

10781

Sp